

Pogodnych Świąt naszym Czytelnikom i Sympatykom
życzy REDAKCJA

odgłosy



15 (699)
11. IV. 1971 r.
Cena 2 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV



Fot. W. Parys

KRZYSZTOF POGORZELEC

Przepustka do jutra

Szukam odpowiedniego słowa, które możliwie najdokładniej oddaje przebieg obrad XV Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej łódzkiej organizacji PZPR: dialog między członkami partii a jej miejską instancją, konsultacja społeczeństwa z władzą czy też — po prostu — rozmowa nad sprawami, które interesują z racji zasięgu i wagi problemów nie tylko łodzian? Tak, chyba rozmowa zatroskanych ludzi, którzy realnie oceniają łódzkie „dziś”, chcą wypracować i wykonać w możliwie krótkim czasie program nie tylko na najbliższe jutro, ale będący równocześnie „biletem wstępu” do przyszłości.

Utkwiło mi w pamięci pewne stwierdzenie — motyw wielu opinii wyrażanych przez zabierających głos w dyskusji na forum XV Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej łódzkiej organizacji partyjnej, mniemanie — jak sądzę — nie tylko jednostek co bardziej niespokojnych duchem: czy my, łodzianie, nie mamy niekiedy uczucia, że przez długi czas znajdowaliśmy się w roli... wyczekującego na stacyjnym

Dalszy ciąg na str. 4

JAN KOPROWSKI

List do Czytelników

Następny numer „Odgłosów” będzie 700-ny z kolei. A więc swoisty jubileusz. 700 numerów czasopisma to sprawa niebagatelna. Ale jubileuszu nie będzie. To znaczy: nie będzie gali, mów okolicznościowych, strzelającego szampana. Dawniej mówiono: najlepiej uczcić dzień święty, pracując. My mówimy: najlepiej uczcimy jubileusz rozmyślaniami, co zrobić, żeby było lepiej. I w naszym piśmie i tak w ogóle. Najpierw jednak trochę historii. Należy się ona naszym młodym i starszym czytelnikom.

Pierwszy numer „Odgłosów” ukazał się 2 marca 1958 roku, pismo liczy więc sobie już czternaście lat życia. Pierwszym redaktorem naczelnym był znany pisarz, obecnie dyrektor

Wydawnictwa Łódzkiego — Wiesław Jażdżyński. Pismo miało początkowo charakter magazynu, próbowało połączyć przyjemne z pożytecznym, podając materiał w formach możliwie krótkich i lekkostrawnych. „Odgłosy” powstały przecież na gruzach „Kroniki”, której zarzucano elitarność, zbyt wygórowany poziom, utrudniający szerszy odbiór i poczytność. Trzeba powiedzieć, że „Odgłosy” stały się popularniejsze i mogły liczyć na zainteresowanie większego kręgu odbiorców.

Od stycznia 1964 roku zmienił się redaktor naczelny. Został nim Wacław Biliński, dzisiejszy kierownik literacki Rozgłośni Polskiego Radia. Zmienił się też zespół, który próbował przedstawić pismo na nowe tory. Zresztą już za W. Jażdżyńskiego i jego ekipy, po zapewnieniu pismu jakiejś takiej bazy czytelniczej, przekształcano stopniowo profil „Odgłosów” w kierunku społeczno-kulturalnym.

1 stycznia 1969 roku objął pismo piszący te słowa (czyżby to miało znaczyć, że do trzech razy sztuka?). Czternaście lat czasopisma społeczno-kulturalnego w Łodzi — rzecz godna uwagi. Nigdy w przeszłości żaden periodyk o podobnym charakterze nie utrzymywał się tak

Dalszy ciąg na str. 2



Niewiele wydarzeń tak powszechnie skupia uwagę komentatorów, jak XXIV Zjazd KPZR. Codziennie prasa światowa przynosi setki komentarzy. Jeśli w pierwszych dniach obrad Zjazdu zainteresowanie wzbudziła przede wszystkim międzynarodowa część referatu Leonida Breżniewa, teraz nie mniej komentarzy omawia również sytuację wewnątrz Związku Radzieckiego, a zwłaszcza gospodarczą. Z zacięciem i z zainteresowaniem przyjmowane są ponadto wystąpienia gości, którzy zjechali licznie, reprezentując ponad 100 partii komunistycznych i robotniczych. Wszystkie agencje światowe i najważniejsze dzienniki odnotowały w fragmentach lub omówieniach wystąpienia Edwarda Gierka, akcentując przede wszystkim słowa odnoszące się do sytuacji w Polsce, współdziałania polsko-radzieckiego i destrukcyjnej roli kierownictwa KP Chin w procesie konsolidowania międzynarodowego ruchu komunistycznego. Nie uchodzą uwagi także liczne spotkania, jakie delegacja nasza odbywa z delegacjami bratnich partii.

Zjazd KPZR, w którym uczestniczy 4.949 delegatów, reprezentujących ponad 14-milionową rzeszę komunistów radzieckich i 61 narodowości, komentatorzy analizują głównie w dwóch aspektach: jego następstw w polityce zagranicznej i rozwoju społeczno-gospodarczego ZSRR. Równocześnie bardzo pilnie śledzi się reakcje głównych stolic na radzieckie propozycje, zawarte w referacie na Zjazd. I tak np. natychmiast dostrzeżono, że Waszyngton zmienił swoje stanowisko. Jeśli pierwsza oficjalna reakcja wyrażona została w słowach: „Koncepty, które wydaje się proponować — nie wnoszą nic nowego”, to w trzy dni później tenże sam Bray (rzecznik Departamentu Stanu) wypowiedział już inną opinię: „Referat zawiera pewne koncepty, które, naszym zdaniem, zasługują na uważną analizę”. Dodał jednocześnie, że chodzi tu w szczególności o propozycję zwołania rozbrojeniowej konferencji mocarstw nuklearnych.

Z przemówienia sekretarza generalnego, które jest kompleksową, marksistowską analizą obecnej sytuacji międzynarodowej i toczących się procesów, uwagę komentatorów zatrzymała zwłaszcza pięciopunktowy plan zapewnienia pokoju. Składa się on z następujących elementów:

- ▲ uznanie wszystkich istniejących granic
- ▲ likwidacja bloków militarnych — NATO i Układu Warszawskiego
- ▲ odrzucenie kolonializmu i rasizmu
- ▲ definitywny zakaz stosowania broni nuklearnej, bakteriologicznej i chemicznej
- ▲ zaniechanie produkcji broni nuklearnej

Plan ten uzupełniony jest w propozycji radzieckiej także innymi punktami, a mianowicie: likwidacją ognisk wojennych w Azji Południowo-Wschodniej i na Bliskim Wschodzie, zdecydowanym odpięciem wszystkich aktów agresji, wykorzystując w tym celu możliwości ONZ, pogłębieniem wzajemnej współpracy w wielu dziedzinach...

W referacie zjazdowym, co warto szczególnie podkreślić, dużo miejsca zajęły problemy Europy. Ocenia się, że obecnie, dzięki poważnemu zwrotowi w stosunkach ZSRR — NRF, otwierają się nowe perspektywy na naszym kontynencie.

„W ciągu całego okresu powojennego — czytamy — wychodziliśmy z założenia, podobnie, jak nasi sojusznicy i przyjaciele, że fundamentem trwałego pokoju w Europie jest przede wszystkim nienaruszalność granic państw europejskich. Obecnie układy Związku Radzieckiego i Polski z NRF potwierdzają jak najkonkretniej nienaruszalność tych granic, w tym między NRD i NRF oraz zachodniej granicy państwa polskiego”.

Ratyfikacja tych układów powoduje w Niemczech zachodnich polaryzację sił, toczy się ostra walka. Odwołanie jednak ratyfikacji zrodziłoby nowy kryzys zaufania do polityki NRF i pogorszyłoby klimat polityczny na naszym kontynencie. ZSRR gotów jest wypełnić swe zobowiązania, jakie wypływają z podpisanego w ub. roku układu, przebieg swoją część drogi do normalizacji, jeśli podobnie postąpi także druga strona.

Poprawie sytuacji w Europie może sprzyjać konferencja na temat bezpieczeństwa i współpracy. Przygotowania do niej przenoszą się na płaszczyznę praktyki. Jednakże nie brak prób przeszkoczenia w zwołaniu konferencji. Aby doszła ona do skutku — starań o to muszą dotożyć wszystkie zainteresowane kraje.

Referat Leonida Breżniewa podkreśla również konieczność uregulowania problemów, związanych z zachodnim Berlinem, nawiązania równoprawnych stosunków między NRD i NRF oraz zadośćuczynienia żądaniu Czechosłowacji, aby układ monachijski uznany został za nieważny od samego początku.

Zaprezentowane w referacie główne kierunki działania Związku Radzieckiego w polityce międzynarodowej wskazują na kontynuację dotychczasowej linii z jednoczesnym poszukiwaniem w ciągu nowych dróg rozwiązywania nabrzmiałych problemów. Jeśli tylko jakieś spotkanie, konferencja, wzajemne zobowiązanie mogą przyczynić się do zapewnienia pokoju — polityka radziecka będzie je inicjować lub wyjdzie im naprzeciw.

Niezmiernie szeroki i pozytywny rezonans przedstawionego na Zjeździe programu pokoju jest optymistyczną zapowiedzią na przyszłość. Może rokować aktywizację dyplomacji, przynieść serię rozmów, zrodzić nowe inicjatywy.

Warto zwrócić uwagę czytelników na jeszcze jedną sprawę — samą konstrukcję zjazdowego referatu. Polityka zagraniczna jest jego pierwszym rozdziałem. Oznacza to, że w określaniu zadań wewnętrznych KPZR wychodzi z oceny układu sił w świecie i na tym tle formułuje kierunki rozwoju kraju. Te zaś naszkicowane zostały na miarę wielkich możliwości ZSRR, z myślą o jego obywatelach.

W. SŁAWSKI

Z referatu I sekretarza KŁ PZPR tow. BOLESŁAWA KOPERSKIEGO

Jednym z ważniejszych czynników przekształcających życie ludzi we współczesnej epoce jest rewolucja naukowo-techniczna, całokształt burzliwych przemian ogarniających wszechstronnie warunki życia człowieka — od zmian technologicznych poczynając, aż po kształtowanie się nowych form więzi społecznej i przeobrażenia ekonomiczno-ustrojowe. Zbliża się czas, kiedy w warunkach rewolucji naukowo-technicznej znajdować musimy praktyczne rozstrzygnięcia, które umożliwią realizowanie naszych zamierzeń z optymalną korzyścią dla społeczeństwa. Nie sposób jednak rozwiązywać wielu istotnych problemów społecznych i ekonomicznych bez dalszego dynamicznego rozwoju różnych dyscyplin naukowych.

Środowisko naukowe skupia się w Łodzi wokół wyższych uczelni i instytutów naukowych. Jesteśmy zdania, że nasze środowisko naukowe powinno być jeszcze silniejsze a jego ranga w życiu miasta — większa.

Sądzimy, że mała dynamika rozwoju niektórych ośrodków naukowych miasta wynikała z faktu, iż nie mieliśmy dotąd kompleksowej perspektywy Łodzi, w ramach której sprawy nauki i właściwego angażowania środowisk naukowych w życie miasta, miałyby poczesne miejsce.

Winniśmy z naukowcami przedyskutować sposoby i możliwości angażowania nauki w rozwiązywanie problemów w Łodzi. Formułując w ten sposób postulat, pragniemy jednocześnie z całą mocą podkreślić, że nie jesteśmy rzecznikami wąsko pojętego utilitaryzmu wobec nauki. Doceniamy wagę badań podstawowych, które dziś nie mogą być bezpośrednio wykorzystane, ale które niezbędne są dla zapewnienia rozwoju nauki w przyszłości.

List do Czytelników

Dalszy ciąg ze str. 1

długo. W różnych czasach rodziły się różne pisma, często o wielkich ambicjach i szumnych zapowiedziach programowych, które jednak upadały szybko, niekiedy już po paru numerach. Dzieje czasopiśmiennictwa polskiego w ogóle, a łódzkiego w szczególności czekają wciąż na swojego kronikarza. Są to dzieje dramatyczne, odbijające historię kraju i narodu, który, wstrząsany wojnami i najazdami, nie mógł rozwijać swojej kultury w sposób stały i harmonijny. Z jakąż żądzą patrząc zawsze na nagłówki szwajcarskiej gazety „Neue Zuercher Zeitung”, która zbliża się do dwustu lat nieprzerwanego i niczym nie zakłócanego istnienia. Ze zdumieniem przeczytałem w tej gazecie, że jej naczelny felietonista, Edward Korrodi, pisał swoje felietony przez lat pięćdziesiąt nieprzerwanie aż do dnia śmierci. Prawdopodobnie nie przyszło mu nigdy na myśl, że mógłby tego nie robić, działał bowiem w kraju, który nie zna wojen, najeżdżów, okupacji, grabieży i wyniszczenia.

Inaczej u nas. Nawet tak pracowity i godny najwyższego podziwu Bolesław Prus pisał wprawdzie swoje „Kroniki” lat bez mała czterdzieści, ale w wielu różnych pismach, gdyż rzadko które czasopismo polskie mogło ustabilizować swój byt na dłuższy czas. Wszystko więc, co przekracza barierę tymczasowości, co utrwała swoje istnienie, tworząc tradycję i ciągłość kulturotwórczych działań, zasługuje na uwagę, troskę i opiekę.

Łódź posiada na swym terenie liczne środowiska kulturalne. W okresie powojennym wniosły one swój godny odnotowania twórczy wkład w pomnażanie wartości kulturalnych i ich upowszechnienie w robotniczej społeczności. O pracy, aktywności danego środowiska decydują indywidualne osiągnięcia jego członków, jak i społeczne inicjatywy, związki z życiem miasta czyli twórcza, polityczna i społeczna aktywność. Łódź jest bogatym warsztatem pracy dla środowisk twórczych, a właściwa atmosfera w tych środowiskach, ściślejsze powiązanie z klasą robotniczą, winny w większym niż dotychczas stopniu inspirować ich twórczą działalność.

Specjalna rola w życiu społeczeństwa, naszej pracy partyjnej przypada prasie, radiu i telewizji. Korzystając nadal z tych środków w pracy ideologicznej, traktując dziennikarzy jako działaczy partii spełniających szczególną rolę w szybkim przekazywaniu społeczeństwu tego co ważne w życiu kraju, kształtowaniu opinii społecznej, dążyć będziemy do tego, aby mniej niż dotychczas było w ich pracy „przekazu”, a więcej pobudzającej myślenie wymiany poglądów. Do niedawna proces poszukiwań właściwych rozwiązań i decyzji nie znajdował dostatecznego odbicia na szpaltach gazet, w radio i telewizji, a o sprawie pozwalano pisać i mówić często dopiero wówczas, gdy została przesądzona przez urzędowe autorytety.

Doceniając już dokonane pozytywne zmiany w zakresie i tematyce publicystyki — należy podkreślić, że kierownictwo partii i rządu stworzyło dziennikarstwu nowe możliwości twórczego rozwijania publicystyki politycznej, społecznej, gospodarczej, kulturalnej — z myślą o człowieku. Z tych możliwości trzeba szerzej korzystać.

Jesteśmy skromni i dalecy od przeceniania zasług i znaczenia naszego tygodnika. A przecież nikt nie zaprzeczy, że przez te czterdzieści lat, przez te 700 numerów towarzyszył on temu, co w Łodzi i w Polsce się działo. Jeśli ktoś kiedyś zechce napisać historię łódzkich teatrów tego okresu, łódzkiej plastyki, czy łódzkiej literatury, musi również oprzeć się na rocznikach „Odgłosów”, w których omawiane i oceniane były premiery naszych teatrów, książki naszych autorów, wystawy naszych artystów. Zabierali głos w naszym piśmie pisarze i działacze, uczeni i artyści, politycy i robotnicy. Gościli na naszych łamach Iwaszkiewicz i Putrament, Wańkowicz i Sandauer, Kubacki i Natanson.

Jesteśmy wdzięczni naszym Czytelnikom za ich zainteresowanie i uwagę. Mamy nadzieję, że zechcą oni nadal otaczać nas swoją życzliwością, nie skąpić krytyki, jeśli na nią zasługujemy. Łódź, drugie co do wielkości miasto polskie, mająca dwie gazety poranne („Głos Robotniczy” i „Dziennik Łódzki”), jedną popołudniową („Express Ilustrowany”), czasopismo satyryczne „Karuzelę” i tygodnik „Odgłosy”, nie zaspokoila chyba jeszcze swoich ambicji. Łódź potrzebny jest miesięcznik, może winna to być „Osnowa”, przekształcona i ustabilizowana, której los — jak słychać — nie jest pewny. Miasto tak duże i tak prężne, miasto Uniwersytetu i Politechniki, Akademii Medycznej i Wyższych Szkół Artystycznych, miasto jedynego na tę skalę przemysłu w kraju, miasto pięciu teatrów, środowisk artystycznych i naukowych, miasto autentycznych ruchów społecznych — zasłużyło sobie na więcej, niż posiada. Nie minimum tego, co mamy, lecz maximum tego, co mieć możemy i powinniśmy — wyznaczają nasze cele i zadania.

Pomóżmy naszemu miastu, bo pomagając jemu, pomagamy również sobie.

JAN KOPROWSKI

Siedem razy wstawało słońce i siedem razy żona Alojzego Piontka przeżywała jego śmierć. Był pośród jedenastu górników, którzy we wtorek o godzinie czternastej zjechali na drugą zmianę i po krótkiej odpoczynku ruszyli w głąb korytarza na posterunek pracy w najtrudniejszym, położonym 825 metrów pod ziemią pokładzie 508. Kilka minut po godzinie szesnastej nastąpiło tam tapnięcie o sile, którą według wicedyrektora Departamentu Górniczego w MGIE, Edwarda Knapika, z powodzeniem można przyrównać do trzęsienia ziemi. Zawałiła się ściana wydobywca o długości siedemdziesięciu dwóch metrów i tych jedenastu zostało odciętych od powietrza i światła, pogrzebanych w nieprzebranym rumowisku potrzaskanej skały.

Następnego dnia, w środę 24 marca, była jeszcze nadzieja, tym bardziej, że przecież w kilkadziesiąt minut po wtorkowym zawale ośmiu górników, pracujących na tym samym oddziale, ale w innym punkcie korytarza — zostało się uratować — czterech z nich poszło do domu, a czte-

„Ponad sto godzin bezustannego, trudnego do opisanego wysiłku ludzi ofiarnych, zdecydowanych do najwyższych poświęceń, którzy z kilku punktów szturmują podziemną hałdę (...) — to równocześnie wiele momentów nadziei i zwątpień; nadziei, która oddala się jednak w miarę upływu czasu. A minęło go już dużo, nawet bardzo dużo...”

Nie mylił się w zasadzie „Wieżor”, „Dziennik Zachodni”, katowicki korespondent PAP i wielu innych dziennikarzy. Dramat spełniał się zgodnie z powszechnymi przewidywaniami. Po południu ekipy ratownicze dokopały się zwłok trzydziestosześcioletniego Horsta Mainka i trzydziestotrzyletniego Rudolfa Budnego. Późnym wieczorem wydobyto nieżyjących: dwudziestocześcioletniego Adama Kurzela, czterdziestosześcioletniego Pawła Brolla i trzydziestosześcioletniego Józefa Koeniga, a w poniedziałek nad ranem: trzydziestosześcioletniego Jana Wilczyńskiego i czterdziestocześcioletniego Henryka Wysockiego. Tak więc w zawałonej ścianie pozostało jeszcze tylko trzech górników. W to, że któryś z nich może oddychać, nie

Alfreda Halaska, który miał trzydzieści lat.

Tego samego dnia, we wtorek, 30 marca o 20, po 174 godzinach nieustannych poszukiwań znaleziono zwłoki ostatniego z jedenastu, trzydziestosześcioletniego Alfreda Gebauera, i wielka batalia dobiegła końca.

Jak ocenić jej wynik?

Zginęło dziesięciu, uratowano tylko jednego. Ale ocalenie tego jednego istnienia jest ogromnym sukcesem, najpiękniejszą nagrodą dla tych, którzy trwali w poście i znoju na ratowniczych posterunkach. Ktoś przecież powiedział, że jedno życie ludzkie jest więcej warte niż wszystkie symfonie świata...

★

Wspominałem na początku, że zaraz po zawale uratowało się ośmiu górników, którzy także pracowali na pokładzie 508, lecz szczęśliwy los rzucił ich w inny punkt korytarza...

Odwiedziłem ich w szpitalu. Relacja:

Zjechali razem z tamtymi jedenastoma. Około godziny szesnastej stali w pobliżu pierwszej pochylni, z której dwudziestolletni Zdzisław Michewicz, absolwent Zasadniczej Szkoły Górniczej, zrzucał akurat deski potrzebne do zabudowy stropu, a ich czterech — czterdziestodwuletni Maksymilian Buchcik oraz Tadeusz Jasiński, Andrzej Skoczyński i Jan Smutek (wszyscy po lat dwadzieścia) — chowali się w zakamarkach ściany, żeby przypadkiem nie dostać w głowę.

Nagle rozległ się przeraźliwy, głuchy huk.

Miałem takie wrażenie, jakby cały świat przelamał się w pasie — mówi Skoczyński, praktykant z Technikum Górniczego. — Poczułem zimny, porywisty wiatr i straciłem przytomność. Kiedy ją odzyskałem, leżałem na pochylni. Zrozumiałem, że to podmuch wzbilił mnie kilkanaście metrów w górę.

Nic nie pamiętam — mówi Jasiński — Wszystko mi się nagle urwało, a kiedy odzyskałem świadomość, było niesłychanie ciemno, więc pomyślałem, że to pewnie śmierć, i zacząłem głośno krzyczeć.

Przejechałem się przysypany po samą szyję — mówi Buchcik, cześla górniczy. — Nie mogłem nawet poruszyć ręką, a nogi przynętały mi dodatkowo praktykant Smutek. Nie straciłem jednak nadziei...

Wiem tylko, że nim postradałem przytomność, fruwałem jak ptak z wiatrem i różnymi odpadkami — mówi Michewicz. — Zbudziłem się o piętnaście metrów wyżej, niż zastało mnie tapnięcie. Było ciemno, ale ja czytałem w kopalni rękami, a pochylnie znam na pamięć. Ciągłe jeszcze waliło ze stropów. Leżałem na brzuchu i osłaniałem głowę rękami. Bałem się wstać. Helm i lampę górniczą zgubiłem. Dusił mnie strach, że przyszła już ostatnia godzina mo-

Z REFERATU SEKRETARZA GENERALNEGO KC KPZR LEONIDA BREŹNIEWA NA XXIV ZJEŹDZIE

„Nasza przyjaźń z Polską Rzeczpospolitą Ludową jest niewzruszona. Z głębokim zadowoleniem podkreślamy, że w bratniej Polsce przezwyciężono trudności, jakie tam powstały. Polska Zjednoczona Partia Robotnicza wprowadza w życie kroki, zmierzające do tego, aby umacniały się jej więzi z klasą robotniczą i wszystkimi ludźmi pracy, aby pozycje socjalizmu w kraju stawały się jeszcze trwalsze. Komuniści Związku Radzieckiego życzą z całego serca polskim przyjaciółom jak największych sukcesów”.

jego życia. Pobiegłem w inne miejsce, ale i tam waliło jak cholera. Wciąż w jeszcze inne. Ale tam również. Znowu położyłem się na brzuchu, osłaniając wciąż głowę rękami. Gruz siekł mnie po nogach, ramionach i plecach, a ja myślałem, że nie ma już dla mnie żadnego schronienia. Chciało mi się płakać. Nagle usłyszałem telefon. Dyspozytor pytał, czy to prawda, że było u nas tapnięcie. Kazał mi iść w dół, do ściany 83. Ale jak do niej podpełzłem, zobaczyłem, że jest zawałona.

Tam, na dole, pierwszy opamiętał się Skoczyński. Wymacał lampę u pasa. Jej światło z trudem przebijało się przez tumany kurzu. Usłyszał głośne jęki, wołanie o pomoc. Podszedł do tego, który krzyczał najbardziej. To był zasypany do pasa Jasiński. Uwolnił go, a później razem zaczęli odgrzebywać Buchnika i Smutka. Buchcik zachowywał się spokojnie. Mówił: „Tylko bez paniki, chłopcy, pomóżcie mi wy dostać nogi, a wszystko będzie dobrze. Jeszcze żyjemy, chłopcy, wyjdźmy”. Szukali hełmów i lamp. Potrzebne było światło i ochrona dla głów, na które bez przerwy sypało się ze ścian. Pokaleczeni, wyczerpani, krztusił się pyłem, czolgali w górę pochylni, wymijając zatory z belek, kamieni i węgla. I wtedy spotkali Michewicza. Powiadomił ich o rozmowie z dyspozytorem. Postanowili iść w górę. Kiedy byli już na prostej drodze do szybu, spotkali ratowników i przełożonych, którzy udzielił im pierwszej pomocy. W kilkanaście minut później znaleźli się w szpitalu.

— Ciągłe widzę tę zawałoną ścianę — powiedział Tadeusz Jasiński. — Budzę się w nocy, krzyczę, nieraz mi się zdaje, że siedzę jeszcze w zawale z tymi jedenastoma. Znałem wszystkich! To byli szczerzy koleży.

Chcę go trochę oderwać od wspomnień. Pytam:

— Oglądał pan trasę misję z Manchesteru?

— Tak. Ale wytrzymałem tylko do połowy. Później omdlały mi nogi i musiałem się położyć.

To samo mówi Michewicz:

— Po przerwie wróciłem do łóżka, gdyż było mi niedobrze. Pan zobacz. — Pokazuje poranione nogi. Piersi i ramiona są rozognione, czerwone do krwi.

— Będzie pan dalej górnikiem?

— Jeszcze nie wiem...

Powtarzam to pytanie w rozmowie z Maksymilianem Buchcikiem.

— Pewnie, że będę. Przecież to mój zawód, mój los, który sam kiedyś wybrałem.

— Nie ma pan lęku?

— Nie. Górnik musi wiedzieć, że praca w kopalni zawsze łączy się z niebezpieczeństwem. Ale musi być również odważny i spokojny...

— Wasz pokład należał podobno do najtrudniejszych?

Potwierdza.

— Czy nie było jakichś zaniedbań w budowie?

— Obudowa była w porządku.

— Ale podobno czuło się ciśnienie?

— Na tej głębokości zawsze się czuje. Trzeszczały słupy. Zdarzały się drobne tapnięcia. Człowiek zdążył do tego przywyknąć...

Przypominam sobie w tym momencie opinie, jaką w obecności dr Eugeniusza Rustanowicza, doradcy wicepremiera przekazał mi w „Rokitnicy” Edward Knapik:

Wjeście człowieka w głąb ziemi zawsze burzy jej naturalną równowagę. Ale teren pod kopalnią jest wyjątkowo kapryśny, skłonny do naprężeń i tapnięć, ukształtowany w formie niecki, na której dnie i brzegach prowadzi się eksploatację. W dniu, kiedy zdarzyła się katastrofa, czule urządzenia sejsmologiczne nie wykazywały większych odchyśleń od normy, a mimo to tapnięcie o sile zbliżonej do trzęsienia ziemi, wynikające z naturalnych warunków geologicznych budowy złoża — spowodowało zaskakujący, ogromny, tragiczny w skutkach zawał.

★

Zaden sejsmograf nie zmierzył bólu rodzin poległych górników. Zadane, największe nawet piętnadze nie zastąpią w ich świadomości pustki po mężach, ojcach i synach.

Nie potrafię znaleźć słów, którymi można by oddać hold CZARNYM ROBOTNIKOM.

Wiem. Ryzyko jest w kalkulowane w ich zawód. Wlem. Nie ma na całym cholernym świecie ani jednej kopalni, gdzie podpisujący umowę górnik miałby zagwarantowane stu procentowe bezpieczeństwo.

Ale nie pomniejsza to mojego żalu.

Bunt zostaje.

Czym osłodzić ten kielich goryczy?

Myślę:

Może cudownym ocaleniem?

Sobotni pogrzeb Maksymiliana Czapli był równocześnie symbolicznym pogrzebem pozostałych dziesięciu górników.

A przecież jeden z nich przeżył...

Więc może uratowanie Alojzego Piontka stało się we wtorek rano ich symbolicznym zmar-twychwstaniem?

Myślę:

Będa żyć w tym jednym istnieniu. Kto to powiedział, że jedno ludzkie istnienie jest więcej warte, niż wszystkie symfonie świata?

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Zawał w Rokitnicy

rech zatrzymali w szpitalu im. Marii Curie-Skłodowskiej w Zabrzu, do czego jeszcze wróć.

Jednak w czwartek nadzieja zbladła. Na dziewiątym metrze zawałonej ściany odgrzebano zwłoki pięćdziesięciosześcioletniego Maksymiliana Czapli, najstarszego z jedenastu. Zły znak. Ale akcja ratownicza, która rozpoczęła się momentalnie po zawale, i w której wzięły udział najznakomitsze, wyposażone w nowoczesny sprzęt ekipy z kilkunastu kopalń, parla naprzód ze zdwojoną siłą. Kiedy wszedłem na teren kopalni, znajdował się tam wicepremier i minister Górnictwa, Jan Mitrega, dwaj kierujący na przemian batalią wiceministrów tego resortu oraz przedstawiciele Komitetu Wojewódzkiego Partii — Zdzisław Grudzień i Tadeusz Pyka. Do miejsca, w którym według przypuszczeń, przebywali uwięzieni górnicy, drążono cztery chodniki ratunkowe z paru poziomów. Akcją — jedną z najtrudniejszych w dziejach polskiego górnictwa — torpedował nieprzerwany ruch górotworu: powtarzające się raz po raz tapnięcia, osypiska... Gniew ziemi! Trzeba było walczyć o każdy centymetr, uważać, żeby ratujący nie podzielili losu ratowanych. Lecz łopata przechodziła z rąk do rąk, pałeczka w sztafecie dobrej woli, wyzwanie rzucone zwątpieniu, które tam, na powierzchni, nurtowało prawie wszystkich.

Piątek był dniem wielkiego zawodu.

W sobotę na cmentarzu w Mikulczycach pochowano Maksymiliana Czaple. Jego pogrzeb — zroszony łzami niewysłowionego żalu — był jednocześnie symbolicznym pogrzebem pozostałych dziesięciu górników... Mijał już przecież czwarty dzień... Nie mieli przecież nic do jedzenia i do picia... Wiadomo przecież, że człowiek może żyć bez wody tylko trzy doby... A jak wyżyć bez powietrza, które zostało wypompowane przez walące się ściany?

W niedzielę rano, kiedy zacząłem pisać reportaż dla „Polityki”, pozbyłem się resztki złudzeń. Dziesięciu ciągle jeszcze spoczywało pod ziemią. Lokalna prasa poddała się naporowi faktów i racjonalnych przemysłów. „Wieżor” i „Dziennik Zachodni” po raz pierwszy zamieściły komunikaty o katastrofie i akcji ratunkowej w formie nieszczęścia dokonanego. Katowicki korespondent PAP donosił:

wierzył już chyba nikt; nawet zapamiętałe, do ostatka walczący ratownicy. A jednak...

We wtorek o piątą rano, po 158 godzinach trwającej dzień i noc batalii, niezmierzony ludzki trud spotkał się tam, 825 metrów pod ziemią, kilkadziesiąt metrów w głąb zawałonej ściany — z nie spotykaną ludzką wytrzymałością i cały kraj obiegła lotem błyskawicy radość, nieprawdopodobna, granicząca z cudem nowiną: jednego z nich odkopano żywego.

Relacjonują ratownicy:

Kończyła się już nocna zmiana. Kierujący akcją inżynier Alojzy Wyleżyk, wczolguje się do niewielkiej szczeliny, utworzonej przez potrzaskane elementy drewnianej obudowy. Oświetla lampą dziurę i nagle słyszy zduszony głos:

„Czy to wy, sztygarze? Pomóżcie mi, nie mogę się stąd wydostać”.

Inżynier myśli, że uległ złudzeniu, albo, że to któryś z ratowników dostał się w pułapkę. Ale głos rozlega się ponownie — bliżej, głośniejsze:

„To ja, Piontek. Zawołajcie sztygara. Jestem tu od WCZORAJ, z drugiej zmiany”.

Sprowadzono lekarza. Na jego polecenie Alojzy Piontek odrywa kawał rękawa z kurtki i sam przewiązuje sobie oczy, chroniąc je przed pierwszym światłem.

Pytają go:

„Chłopie, co ty jadłeś?”.

Odpowiada, że drzewce łopaty. Prosi, żeby schować mu ją na pamiątkę. Mówi:

„Pode mną leży Gebauer, siedem metrów za mną Halasek. Co z Górnikiem? Czy wygrał?”.

„Nie bój się. Będzie trzeci mecz. Obejrzyś. Ale jak ty żyłeś bez wody?”.

„Moją wodą był mocz” — powiada.

Ratownicy powstrzymują łzy. Trzydziestosześcioletni Alojzy Piontek — mąż i ojciec dwójki dzieci — ma pogryzione ramiona, które były mu chlebem i napojem. Karetka reanimacyjna odwozi go do szpitala, gdzie w kilka godzin później odwiedza go wice-minister Mitrega i wiceminister E. Porąbka. Otaczają go najwybitniejsi lekarze. Jest w doskonałej formie. Jeśli zaczną pracować nerki — będzie żył...

Tymczasem akcja ratownicza trwa nadal. W godzinach popołudniowych odnaleziono ciało



Prawie wszystkie moje rozmowy na temat wynalazczości kończyły się tymi samymi uwagami i wnioskami. Mówiono o trudnościach z wprowadzeniem — w języku techników nazywa się to brzydkiem — wdrożeniem — nowego urządzenia lub nowej technologii do produkcji, mówiono o licznych oporach ludzi, którzy boją się ryzyka, mówiono o chaosie organizacyjnym i informacyjnym, ba, spotkałam się nawet z tak dośladnymi określeniami, jak „rączkowanie” i „partyzantka”.

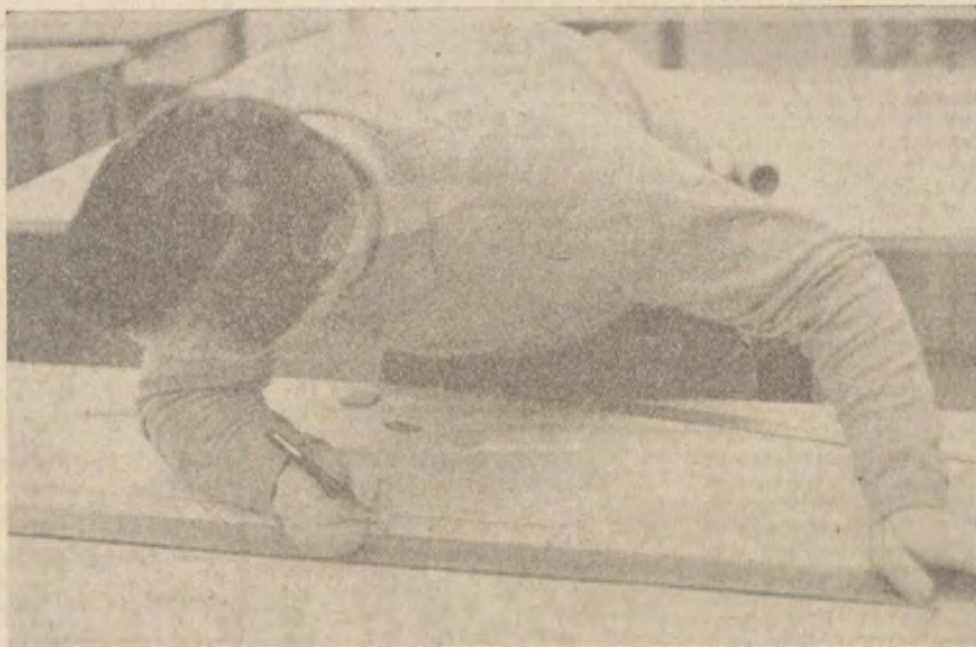
A przecież owe określenia dotyczyły wynalazczości. Wynalazczość natomiast, tego udowodnić nie potrzeba, oznacza nowość w technice i nie tylko, a mówiąc jeszcze krócej — oznacza postęp. Toteż zestawienie choćby dwu wyrazów: rączkowanie i postęp — musi budzić jeśli nie sprzeciw, to przynajmniej zdziwienie. Tym bardziej, że liczby świadczące o ruchu wynalazczym choćby tylko z Łodzi i województwa mogą skłaniać do optymizmu.

Pozorny optymizm

Liczyby te najłatwiej zdobyć w Wojewódzkim Klubie Techniki i Racjonalizacji, placówce, która akurat obchodzi dziesięciolecie swojej działalności i której zasadniczym celem ewoluje „był rozwój wynalazczości i racjonalizacji w przedsiębiorstwach i instytucjach Łodzi i województwa łódzkiego, nadanie temu ruchowi charakteru masowej twórczości technicznej — stosownie do jego poważnego znaczenia ekonomicznego i społecznego”. Dziesięcioletnia działalność WKTIR w propagowaniu wynalazczości przyniosła niewątpliwie efekty. W chwili obecnej w Łodzi i województwie istnieje 16 klubów branżowych i 438 zakładowych klubów techniki i racjonalizacji, skupiających 27.315 członków. W ciągu 10 lat Wojewódzki Klub udzielił 7.797 porad, przeszkolił w zakresie prawa wynalazczego 8.317 osób, zorganizował 130 konkursów oraz 160 wystaw i giełd wynalazczości, a praca w tej dziedzinie steruje 400 osób aktywnie społecznie.

Wydawałoby się, że tak rozległa działalność popularyzatorska powinna dać znaczną ilość wynalazków, wzorów użytkowych i usprawnień. I sprawozdania potwierdzają to, przynosząc liczby duże, liczby niemal imponujące. Bo o to na przykład tylko w roku 1970 i w pierwszych dwu miesiącach roku bieżącego zarejestrowano 14.871 zgłoszeń projektów, które w założeniach mają przynieść korzyści wartości blisko 500 milionów złotych. Taką liczbą zgłoszeń przynosiłby okręgowi łódzkiemu nie najgorsze, bo mniej więcej czwarte miejsce w skali krajowej.

I na tym skończyłaby przytaczanie liczb, które mają przynajmniej, wymowę wielce optymistyczną, a jednak optymistyczne być nie mogą. Powód jest prosty. Ważniejsza od ilości zgłoszeń projektów jest inna wielkość — ilość projektów zrealizowanych, projektów zastosowanych w produkcji i upowszechnionych w zakładach tej samej branży. A z tym u nas nie jest najlepiej. Dość powiedzieć, że co roku przynajmniej czwarta część, jeśli nie więcej, projektów kończy się na papierze, co niekoniecznie znaczy, że są one złe lub niepotrzebne. Natomiast tzw. upowszechnianie czyli stosowanie wypróbowanych już i dobrych rozwiązań technicznych w innych przedsiębiorstwach, zamyka się w granicach 2-3 proc. A przecież nauczyły nas plakaty reklamujące ruch wynalazczy, że każda złotówka zainwestowana w tenże przynosi w ciągu roku 8 złotych zysku.



Fot. W. Pietrzyk

BOGDA MADEJ

KTO KUPI POMYSŁ?

Nie tylko kłódka

Jeśli wynalazek nie jest „pusty”, czyli nie jest pomysłem dla pomysłu, jeśli w konkretnych warunkach, dla których został zaprojektowany, usprawni pracę, poprawi ją lub ułatwi, jeśli przyniesie oszczędności, niewątpliwie powinien być zrealizowany. Niewątpliwie powinien, wszyscy o tym doskonale wiedzą, mamy nawet odpowiednie przepisy i zarządzenia zobowiązujące kierownictwa przedsiębiorstw do wprowadzania do produkcji nowych projektów, powinny dbać o to zakładowe kluby techniki i racjonalizacji, nawet w Urzędzie Patentowym istnieje odpowiedni dział, który ma przyczyniać się do realizacji projektów z patentem. A jak jest w rzeczywistości?

Oglądałam kłódkę, która od normalnych kłódek różni się tym, że jest jednocześnie płombą. Pomysł prościutki, wydawałoby się, że dawno można by porzucić codzienne plombowanie magazynów i innych pomieszczeń tradycyjnym sposobem — przy pomocy ołowiu. Kłódka ma patent, pokazywana była na Targach Poznańskich, zdobyła nagrodę, jej twórca umarł. Ale nie pomógł interwencji i u najwyższych władz. Kłódki nikt nie chce produkować. Już od pięciu lat.

W marcu roku 1966 Instytut Skórzany zgłosił do Urzędu Patentowego projekt biologicznego oczyszczania ścieków z gąbiami. Projekt w maju 1967 roku uzyskał patent i dopiero pod koniec br. — czyli półroczny — trzeba było aż czterech lat — ma być zastosowany w Południowych Zakładach Skórzanych „Chelmek”. Dlaczego dopiero po czterech latach? Bo nie można było znaleźć przedsiębiorstwa budowlanego, które zechciałoby się podjąć budowę urządzenia.

Wyraźnego pecha do producenta ma również konstruktor z Biura Projektowania Zakładów Włókienniczych, autor dwu opatentowanych już projektów: prostego i skutecznego urządzenia do odpylania odzieży roboczej oraz opatentowanego cztery lata temu składanego pojemnika do transportu przedzi. Dodajmy, pojemnika, który zastosowany zamiast dotychczasowych różnorodnych opakowań tylko w skali przemysłu lekkiego przynosiłby rocznie 32 miliony złotych oszczędności. Oczywiście przynosiłby, gdyby zaczął go ktoś produkować. Ale produkcja nowych rozwiązań technicznych opatentowanych jako wynalazki, nawet już nie seryjna, lecz choćby samych prototypów, jest w dziedzinie polskiej wynalazczości tym miejscem, o którym zwykło się mawiać — tu leży pies pogrzebany. Nie jedyny.

Chcę się tutaj zastrzec. Przedstawiając powyższe przykłady nie zrealizowanych projektów wybrałam je nie dlatego, że uważam je za najważniejsze, za takie, które trzeba by produkować w pierwszej kolejności. Wybrałam je dlatego, że są typowe — wszystkie jak do tej pory marnują się w szufladach. Co oczywiście nie znaczy, że nie ma w Polsce przedsiębiorstw niezdolnych podjąć ich produkcję. Tylko, który zakład chętnie zgodzi się przyjąć produkcję prototypu, albo nawet już produkcję seryjną, jeśli nie bardzo przystaje do jego dotychczasowych wyrobów? A jeśli nawet przystaje, to przecież często musiałaby to być produkcja poza planem, która się fabryce nie opłaca i sprawia tylko dodatkowy kłopot.

Zabawa w podchody

W lepszej sytuacji od wynalazców z instytutów naukowych i innych placówek

badawczych, są wynalazcy i racjonalizatorzy — pracownicy przedsiębiorstw przemysłowych dysponujących warsztatami remontowymi, gdzie można prototyp wykonać.

— Tylko niech pan pamięta — powiedział mi jeden z rozmówców — o fakcie, wydawałoby się, drobnym, a bardzo istotnym. O stosunku kierownictwa zakładu do postępu technicznego.

Istnieje wprawdzie obwarowany odpowiednimi przepisami obowiązek wprowadzania wynalazków i usprawnień. Jest to jednak obowiązek, o którym wszyscy dyrektorzy powinni wiedzieć, ale wielu stara się go skutecznie omijać. Każda nowość wiąże się zawsze z ryzykiem. Może zmniejszyć się na przykład rytm produkcji, a wtedy pod znakiem zapytania stoi wykonanie planu. A przecież wiadomo, co w przedsiębiorstwie oznacza plan. Praktycznie więc dobra wola kierownictwa ma tu ogromne znaczenie. W tej trudnej sytuacji niektórzy wynalazcy stosują dość prostą metodę. Proponują po prostu dyrektorowi wpisanie jego nazwiska na listę autorską, czyli inaczej mówiąc stosują „bodźce materialnego zainteresowania” swoim projektem. Opowiadałam mi, że autorka pewnego wynalazku z przypadającego zań wynagrodzenia 140 tys. złotych otrzymała 15 tys. Resztę podzielono między ludzi, od których zależało w mniejszym lub większym stopniu wprowadzenie jej pomysłu do realizacji. Można tylko snuć domysły, ile, z wprowadzanych taką drogą projektów, rzeczywiście było potrzebnych i pożytecznych. Ale to tylko dygresja.

W znacznie trudniejszej sytuacji są pracownicy placówek naukowych i technicznych, których obowiązkiem jest praca twórcza w dziedzinie postępu technicznego, a którzy w tej pracy skazani są na samotność. Kiedy naukowiec nie pracuje na konkretne zamówienie, wtedy musi sam troszczyć się o wykonanie prototypu i o zainteresowanie nim przemysłu. Nieco inaczej rzecz wygląda w biurach projektowych. Na przykład Biuro Projektowania Zakładów Włókienniczych współpracuje z inwestorami z przemysłu lekkiego. Nie zdarzyło się jeszcze, aby to sam inwestor wystąpił z propozycją usprawnienia czy ulepszenia. Gdy jednak w ogólnym projekcie przedstawionym przez Biuro znajduje się również projekt wynalazczy, to inwestor go na ogół akceptuje. Tylko, że z takiej akceptacji dla autora pozostaje, niestety, tylko satysfakcja moralna. Niektórzy z konstruktorów czekają na autorskie wynagrodzenie i po kilka lat. Dlaczego? Proste. Za — użyję jednak brzydkiego określenia — wdrożony wynalazek, wynagrodzenie przysługujące dopiero po uzyskaniu patentu. Niby słusznie. Tylko, że zanim zainwestuje się patent, a to lubi trochę potrwać, inwestor już prace skończy i inwestora nie ma. I płacić też nie ma kto. Ostatnio, na przykład, Biuro Projektowania Zakładów Włókienniczych przetarguje ze Zgierskimi Zakładami Przemysłu Wełnianego im. Pietrusińskiego w sprawie wynagrodzenia za projekt mieszalnika do surowców włókienniczych.

I taka praktyka nie przypomina już nawet rączkowania. Raczej dziecięcą zabawę w podchody.

Informacja i gościnność

W tej sytuacji pytanie: jak wygląda upowszechnianie technicznych nowości w zakładach tej samej branży, można pojąć jako naiwność. No bo i kto się ma tym zajmować? Przecież, oczywiście, są. Jeśli dyrektor Kowalski zastępuje u siebie nowe urządzenie, to zgodnie

Przepustka do jutra

Dalszy ciąg ze str. 1

peronie, obok toru, po którym co i raz przemyka nowoczesny ekspres, a my choć bardzo byśmy chcieli, nie mamy na ten uciekający nam sprzed nosa gdzieś w przyszłość pociąg pociąg wykupionej miejscówki?

Nim odpowiemy sobie na to pytanie, warto przedstawić, choćby w bardzo skróconej formie, przesłanki tego społecznego odczucia, które, jak się już tutaj powiedziało, stanowiły nić przewodnią wielu dyskusyj i zabierających głos podczas obrad Łódzkiej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej PZPR. A więc:

I sekretarz Komitetu Łódzkiego partii — Bolesław Koperski, analizując przyczyny napięć społecznych, które w tak konfliktowej postaci dały o sobie znać w Łodzi podczas lutych dni stwierdził m. in.

— „Przyczyn narastania sytuacji konfliktowych w środowisku robotniczym w Łodzi upatrywać należy w

szeregu różnych negatywnych zjawisk, które nawarstwiały się od dłuższego czasu. Niewątpliwie wpływ na postawy robotników w czasie strajku miało duże zacośanie przemysłu lekkiego w Łodzi, który charakteryzuje się wysokim stopniem zużycia majątku trwałego, sięgającym w niektórych branżach i przedsiębiorstwach od 40 do 70 proc. Według oceny ekspertów, ponad połowa fabryk tego przemysłu wymaga bardzo szybkiego odnowienia. Szczególnie przestarzały i wyeksploatowany jest park maszynowy przemysłu włókienniczego.

Zapoczątkowana w roku 1960 modernizacja przemysłu włókienniczego prowadzona była w sposób wąski, rozproszony, powolny i niekonsekwentny. Przyjęty zakres modernizacji nie był w pełni realizowany w latach 1960-70, a to z uwagi na to, że w toku każdej pięcioletki dokonywano dalszych niekorzystnych dla Łodzi rewizji nakładów inwestycyjnych i z reguły zmniejszano środki dla przemysłu lekkiego.

Modernizacja poszczególnych zakładów nie była kompleksowa, opar-

to ją o przestarzałą technikę i prowadzono przy pełnym ruchu zakładów, co powodowało często, że dla uzyskania efektów ekonomicznych zagęszczano powierzchnie, a nawet zajmowano na cele produkcyjne pomieszczenia socjalne. W przemyśle lekkim, a zwłaszcza bawelnianym warunki pracy są uciążliwe. Widać to w zagęszczeniu maszyn i urządzeń w halach produkcyjnych, w nie rozwiązywanym problemie wentylacji i klimatyzacji, oświetlenia, transportu wewnątrzzakładowego, hałasu na tkalniach i przedziałach przekraczającego dopuszczalne normy, w niedostatkach organizacji pracy, polegających m. in. na stałych brakach zaopatrzenia w surowce i części zamienne.

Wiele zgłaszanych przez załogi postulatów w gorących dniach lutego dotyczyło właśnie tych zagadnień, a przecież większość tych problemów kierownictwa przedsiębiorstw i zjednoczeń mogły już wcześniej rozwiązać. Dochoodzi do tego niedorozwój placówek przemysłowej służby zdrowia, wolne tempo poprawy złych warunków mieszkaniowych, trudności w komunikacji i nadal niedostateczny rozwój różnego rodzaju usług w mieście. Aktualnie oczekuje na mieszkania ponad 40 tys. rodzin.”

A więc tak — odczucie owego dystansu dzielącego Łódź, stolicę polskiego przemysłu lekkiego, w stosunku do innych rozwiniętych ośrodków przemysłowych w kraju,

znajduje swoje potwierdzenie w konkretnych liczbach i społeczno-gospodarczych faktach. I tak też ocenił aktualną sytuację i problemy przed jakimi stoi Łódź członek Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR — Jan Szydłak.

Oczywiście, przedstawiony tutaj obraz byłby jednostronny i w gruncie rzeczy fałszywy, gdybyśmy ukazując zaniedbania i potrzeby łódzkiego przemysłu, drugiej co do wielkości w kraju miejskiej aglomeracji ograniczyli się tylko do tego jednego koloru wydobytego przez przedstawicieli łódzkiej organizacji PZPR na partyjnym forum. Nie wolno i nikt nie zamierza podważać wartości tego co już zrobiono, by zdjąć z tego miasta odium, łatwy w łstocie i tyle samo uproszczony przydomek wywodzący się jeszcze od Bartkiewicza, Reymonta i Tuwima — o Łodzi „mieście złym, brzydkim i niedobrym”. Bo taką samą kategorią historyczną, jak i prawdą, są zarówno te określenia, jak i 255 tysięcy nowych izb mieszkalnych, które wybudowaliśmy w Łodzi w minionym 25-leciu, owe 137 budynków szkolnych, 40 obiektów przemysłowych itd. itd.

Rzecz chyba jednak nie w suchych liczbach, a zonglerka wskazywać może czasami prowadzić do zupełnie fałszywych bądź wykrzywionych społecznie i gospodarczo wniosków. Istota problemu

tkwi bowiem — mam wrażenie — w stosunku między potrzebami miasta z jednej a osiągnięciami z drugiej strony. Warto również stan „na dziś” nieustannie konfrontować z bardziej dalekosiężnymi, może nawet wybiegającymi zbyt daleko postulatami, które jednak zawsze mają coś w sobie z owego biletu dla miasta i jego mieszkańców, otwierającego drogę do przyszłości.

I w tym miejscu dochodzimy do kapitalnych problemów, podniesionych w toku partyjnej dyskusji na forum konferencji łódzkiej organizacji partyjnej.

Stawiano pytanie: tyle samo trudne co ważne i wymagające odpowiedzi.

To prawda — stwierdzano — że szereg decyzji obecnego kierownictwa partii i rządu, a szczególnie powrót do cen na artykuły żywnościowe sprzed 13 grudnia ub. roku, oznacza zwiększenie domowego budżetu przeciętnej rodziny włókienniczej w Łodzi o 300, 350 zł miesięcznie. Ale przecież źródło napięć nie można szukać wyłącznie w sytuacji ekonomicznej, w materialnym położeniu włókienniczych załóg. Wskazują na to postulaty załóg, gdzie problemy techniczno-organizacyjne przemysłu lekkiego, trudne warunki pracy, stan bezpieczeństwa i higieny a wreszcie i to, że wiele uroniono

z zarządzeniem powinien wysłać do konkretnych zakładów informację. Nikt jednak dyrektora Kowalskiego nie zgani, jeśli jej nie wysła. Więc nie wysła. Zresztą wysyłanie informacji niczego jeszcze nie załatwia. I nawet Uchwała nr 74 Rady Ministrów z 5 lutego 1963 roku, której § 81 mówi o nagrodach już nie tylko za autorstwo, ale i za upowszechnianie wynalazków, nie jest w stanie pokonać oporów, o których już pisałam. Obawy przed ryzykiem, zakłócającym spokojną realizację planu. I tak kółko nam się zamyka.

I nie pomoże nawet najlepsza informacja, której w końcu wbrew opiniom nie jest tak mało. Organizuje się przecież giełdy wynalazków, wydawane są przez Zjednoczenia biuletyny, swoje informatory publikuje Urząd Patentowy, dostarczają ich też instytuty naukowe i centralne laboratoria. Nie pomoże to jednak, jeśli z tej informacji będzie się korzystać tak jak do tej pory, czyli w stopniu niedostatecznym. Przyczyny tego są bardzo prozaiczne. W dużych przedsiębiorstwach przemysłowych w krajach kapitalistycznych w działach wynalazczości pracują sztaby ludzi, nierzadko dochodzące do kilkuset osób, których zadaniem jest śledzenie informacji o wynalazkach nie tylko we własnym kraju, ale wykorzystywanie wszystkich kontaktów zagranicznych do podpatrywania co i jak robią inni, a także do ochrony przemysłowej własnych patentów. W naszych zakładach, instytutach i placówkach naukowych, w działach wynalazczości pracuje najwyżej kilka osób.

Jako przykład operatywności zagranicznych firm niech służy następujący, niemal anegdotyczny fakt. Pracownicy pewnej łódzkiej fabryki do zakupionej za granicą maszyny wprowadzili dość istotne usprawnienia. Podczas wizyty producentów maszyny, pokazali to usprawnienie, z łacie polską szczerością dokładnie tłumacząc, na czym cała rzecz polega. Przedstawiciele firmy uważnie tego wysłuchali, wrócili do swego kraju, po czym następną partię maszyn przysłali, wzbogaconą już o polski wynalazek, a do naszego Urzędu Patentowego przysłali wniosek o patent, który uniemożliwi stosowanie udoskonalenia jego rzeczywistym twórcom.

✱ ✱ ✱

W naszej sytuacji gospodarczej wiele zależy od wzrostu wydajności pracy. Wiąże się to nie tylko z poprawą organizacji pracy, lepszym wykorzystaniem maszyn, ale przede wszystkim z wprowadzaniem nowych urządzeń i technologii. A także z usprawnianiem i poprawianiem istniejących, słowem, z postępowaniem technicznym, gwarantującym poza wszystkim systematyczną poprawę warunków pracy. I choćby dlatego nie stać jest nas na bagatelizację organizacyjną w dziedzinie wynalazczości, na marnowanie inicjatyw i pomysłów.

Poświęca się u nas wiele energii i czasu propagowaniu idei wynalazczości. Jest to oczywiście potrzebne, ale nie można się ograniczać tylko do propagandy. Półki nie uporządkuje się przepisów, póki nie stworzy się skuteczniejszego systemu zainteresowania całych przedsiębiorstw wprowadzaniem postępu technicznego a także odczuwalnych ujemnych skutków za jego hamowanie, póki nie będzie miał kto produkować prototypów i serii przemysłowych, tak długo w rozmowach o polskiej wynalazczości będą się powtarzać określenia „partyzancka” i „raczkowanie”.

BOGDA MADEJ

w sensie ekonomicznym i prestiżowym właśnie z włókienniczych tradycji Łodzi, zajmują poważne miejsce. Jeśli strumień ziółówek przepływał obok naszego miasta, to szczególnie omijał on zakłady włókiennicze. Natomiast eksperci twierdzą, że jeśli mamy nawiązać kontakt ze światową czołówką, to stosunkowo najłatwiej może to zrobić „włókno”. Dodajmy jeszcze do tego, że koszt stanowiska pracy w przemyśle lekkim jest jednym z najniższych, przy czym bardzo szybko zwraca się...

Czy w tych sprawach nie zabierano już wcześniej głosu, czy nie mówiło się o tym w Łodzi dawniej? A no — mówiło się. Tyle, że brakowało konsekwencji w działaniu. Tak tę sytuację lapidarnie określił delegat organizacji partyjnej ZPB im. Dzierżyńskiego — J. Komorowski: „Nieustannie mówimy. A my nie chcemy i nie możemy być tylko telefonem międzymiastowym i ciągle powtarzać: mówi się, mówi się!”

Chodzi więc o wypracowanie programu nowoczesności dla przemysłu łódzkiego, który ciągle decyduje o obliczu i randze tego miasta, jako ośrodka gospodarczego i miejskiej aglomeracji. Jeśli przy tym ma to być program „nasz” to trzeba by „góra” wsłuchiwała się i respektowała gospo-

darkie i nacechowane troską postulaty „dołów”, organizacji partyjnych, samorządów robotniczych, które nie mogą — jak stwierdzano podczas konferencji — być jak... ONZ, która wiele chce, ale bardzo mało może! Nie naruszy to przy tym słusznej zasady centralizmu demokratycznego a tylko przywróci jej pełne znaczenie, zmieni niedawną jeszcze sytuację, w której stopniowo wzrastał centralizm a zanikała demokracja.

Są oczywiście do rozwiązania w Łodzi jeszcze inne problemy.

Sekretarz KC PZPR, członek Biura Politycznego Jan Szydłak, podsumowując dyskusję na konferencji łódzkiej organizacji partyjnej, odnosząc się szczególnie do takich wypowiedzi jak G. Stefański, Cz. Karbowski, A. Promiński, A. Dworniczka stwierdził, że bez radykalnej poprawy sytuacji w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego, zapatrzenia w wodę, unowocześnienia komunikacji, rozwoju szeroko pojętych usług trudno będzie nadać miastu nowoczesny kształt, rozładować napięcia i zagwarantować Łodzi — właśnie ten wspomniany już „bilet do przyszłości”.

W minionym 25-leciu wybudowaliśmy jak się tutaj już powtarzało 255 tys. izb mieszkalnych. To sporo, ale na mieszkania ocze-

kuje w Łodzi ponad 40 tys. rodzin. Okazało się teraz, że na przestrzeni pięciu nadchodzących lat mamy, i musimy, wybudować około 140—150 tys. nowych izb. To bardzo dużo, to tempo jakiegoś w Łodzi nigdy do tej pory nie było. Ale czy jesteśmy do tych zadań przygotowani, czy starczy nam zapasu sił w przedsiębiorstwach przygotowanych z myślą o jutrzejszych terenach pod budowę, ciepła które ogrzeje te nowe mieszkania, a wreszcie — czy dysponujemy projektami, według których budownictwo będzie mogło wznosić domy piękniejsze, a mieszkania bardziej „dla ludzi”?

Pewne głosy z dyskusji na łódzkiej konferencji partyjnej upoważniają nas do wyrażenia opinii, że brakowało trochę naszym miejscom programistom wyobraźni, choć — i to trzeba gwałtownie powiedzieć — nie wszystkie plany, założenia na przyszłość od Łodzi były zależne...

A jeśli już o wyobraźni mowa...

Rangę tego miasta, jego gospodarczej i społecznej roli na mapie kraju mógł i może wyznaczać fakt, który formalnie istnieje: naukowy potencjał skupiony choćby w dziesięciu placówkach naukowo-badawczych przemysłu lekkiego. Ale przecież na 1.264 wykonane przez te instytuty opracowania tylko 198

znalazło drogę do produkcji ciągłej...

Była więc zła koncepcja, niedostatek w wyposażeniu, kadry... Dobrze, ale czy z tej koncepcji przeciwstawiono właściwszą? Czy twórcy podjęli ów trud wytaczania Łodzi bardziej śmiałych ścieżek rozwojowych? Pozwól sobie tutaj zacytować prof. Jana Szczepańskiego*, przy czym ten fragment jego książki odnosi się właśnie do środowiska twórczego Łodzi:

„Nie pomogą najlepsze warunki jeżeli sami twórcy nie będą mieli ambicji tworzenia rzeczy wielkich... Atmosfera twórcza nie jest wynikiem działania władz czy urzędów, lecz emanacją tego co sami twórcy mają do powiedzenia, jest pochodną ich zmagania z problemami, które chcą rozwiązać, ich dążenie do znalezienia wyrazu dla niepokoju, jaki ich ogarnia wobec spraw epoki w której żyją”.

Rozglądnijmy się wokół siebie: trzeba nadać, i ciągle ulepszać nowoczesny kształt nie tylko centrum Łodzi — choć to sprawa paląca i przyczyna wielu kompleksów — ale całego miasta, które choć szczyć się tym, że jest skansenem secesji musi jednak przede wszystkim patrzeć na to co będzie już niebawem, za lat paręnaście, powiedzieć za lat 29, kiedy przekroczymy barierę roku 2000.

Nie trzeba odwoływać się do szczególnej docieklivosti, aby zauważyć, że niektóre ze wskazanych elementów, zwłaszcza dwa ostatnie, noszą charakter oceny. To właśnie może wywoływać najwięcej wątpliwości w praktyce. Pojęcie „uporczywość”, czy nawet „zasady współżycia społecznego” mogą bowiem być interpretowane w sposób niejednorodny, co oczywiście nie oznacza, że dowolny.

Dyskusyjne są również sformułowania zawarte w preambule do projektu ustawy i ostatni człon przepisu art. 1.

W pierwszym przypadku mówi się, iż pasyżnictwo społeczne sprzyja szerzeniu się przestępczości, w drugim natomiast, że zagraża porządkowi prawnemu. To ostatnie sformułowanie posiada znacznie szerszy zakres pojęciowy. Pewne zachowania się mogą bowiem zagrażać porządkowi prawnemu i to nawet w stopniu bliskim bezpośredniemu, do przestępstwa zaś droga może być jeszcze daleka. Wskazana różnica sformułowań posiada znaczenie nie tylko teoretyczne.

Dalsza kwestia, wyloniona nie tyle na tle przepisów projektu ustawy co w toku dyskusji nad nim, ujawnia i jednocześnie wskazuje na potrzebę wyraźnego podkreślenia, iż projekt zmierza do uruchomienia środków reakcji społecznej z powodu prowadzenia pasyżnictwa trybu życia i tylko z tego powodu. Projekt ustawy nie obejmuje sytuacji, kiedy dojdzie do popełnienia przestępstwa lub wykroczenia (obojętnie jakiego). Prowadzenie pasyżnictwa trybu życia i przestępstwo — to zjawiska nieporównywalne. Przestępstwem jest czyn społecznie niebezpieczny, wyraźnie zabroniony pod groźbą kary przez ustawę obowiązującą w czasie jego popełnienia. Ludzie, którzy weszli w konflikt z prawem i zostało im to dowiedzione podlegają przepisom kodeksu karnego. Trudno więc nie zwrócić uwagi na wadliwość wypowiedzi niektórych publicystów, którzy utożsamiają prowadzenie pasyżnictwa trybu życia ze środowiskiem kryminalnym i zjawisko to ilustrują przykładami tego typu jak obrót wartościami dewizowymi, nadużycia gospodarcze, czy różne postacie spekulacji. Operowanie tego typu przykładami może wprowadzać w błąd opinię publiczną i wywołać błędne przekonanie o charakterze tych czynów. Zarówno nadużycia gospodarcze jak również spekulacja i obrót wartościami dewizowymi są przestępstwami, za które kodeks karny przewiduje sankcje w postaci kary pozbawienia wolności i grzywny.

Pasyżnictwo społeczne to stan, który bardzo często poprzedza dokonanie przestępstwa. Przestępstwem jednak nie jest. Dążenie do

Dalszy ciąg na str. 7

Ileż to rozmyślałem nad losami pisma Norwida, przypominając mi się natychmiast ten jego okrutnie proroczy wiersz, zaczynający się od słów: „Coś ty Atenom zrobił, Sokratesie...”. Bo miałyśmy 150 rocznicę urodzin poety, wkroczyliśmy w Rok Norwidowski, ale wciąż nie możemy doczekać się opublikowania całości dorobku jednego z najwybitniejszych twórców kultury narodowej. Wydawcy zapowiedzieli wprawdzie edycję „Dzieł zebranych” Norwida, jednakże po doświadczeniach z ogłoszonym przez PIW w roku 1966 pierwszym tomem (w nomenklaturze edytora są to zeszyty, nie wiedzieć czemu, dwa tomy), za którym nie pojawiły się następne, można powątpiewać czy przyrzeczenie to zostanie dotrzymane. Tym bardziej, że nie zakończono dotąd, ciągnącej się całymi latami edycji pism Słowackiego i Wyspiańskiego. Czy z Norwidem będzie inaczej?

Wprawdzie nie stoi na przeszkodzie, aby pisma Norwida rzeczywiście się ukazały. Na potwierdzenie tej śmiałej tezy przypomnę zaraz głośnie w latach trzydziestych sprawę sporu o spuściznę po poecie; sprawę, którą przez kilkanaście miesięcy bulwersowała opinia publiczna inspirowana do żartów felietonistów i krytyków. Gdyby nie chodziło o arcydzieła kultury narodowej, można by ją nawet rozpatrywać w kategoriach żartobliwych, gdyż w każdej rzeczy poważnej zawiera się jednocześnie mimowolna wesołość. Wesołość tę przysparza jednakże fakt, że mimo upływu lat 35 od wydarzeń, które tu przypominam, sprawa edycji „Dzieł wszystkich” Norwida niewiele posunęła się naprzód także w naszych czasach.

Na początek konieczne wyjaśnienie. W roku 1911 oficyna Jakuba Mortkowicza zapowiedziała w specjalnym prospekcie druk „Pism zebranych” Cypriana Norwida pod redakcją, jak byśmy to dzisiaj określili, Zenona Przesmyckiego (Miriam). „Wydawnictwo — głosił prospekt — obejmuje osiem tomów (około 200 arkuszy) druku, uzupełnionych stu kilkudziesięciu artystycznymi reprodukcjami z rysunkowej, malarzkiej i sztycharzkiej spuścizny C. Norwida oraz licznymi podobiznami pisma i portretami poety. Tekst opatrzone będą przypisaniami wydawcy, oraz dokładnymi indeksami. W miarę — przewidywanego — nagromadzenia się dalszych materiałów w ciągu druku tych ośmiu tomów — zamierzone są tomy dodatkowe, ile ich będzie potrzeba”.

Miriam (Zenon Przesmycki) figurował zresztą na prospekcie jako wydawca i od początku opóźniał publikację „Dzieł”, co tylko częściowo da się wytłumaczyć staraniami o doskonałość wydawnictwa. Ze wspomnień córki Jakuba Mortkowicza, Hanny Mortkowicz-Olczakowej („Pod znakiem kloska”) wynika, że Miriam stawiał żądania nawet w odniesieniu do kroju czcionki i z przysłanych mu przez drukarnie wzorów wybierał wreszcie elzewir.

Tomy tej edycji nie były numerowane, sygnowano je literami. W 1911 roku ukazały się woluminy A (dwie części), C, E, F. Tomy B i D, które miały zawierać część pism wierszem, wśród nich „Vade-mecum” oraz część utworów dramatycznych, nie ukazały się nigdy. Odłane w ołowiu składy przez długie lata blokowały miejsce w drukarni, ale nie można ich było zużytkować, gdyż Miriam dziesiątki lat nie dostarczała przypisów. Dopiero w r. 1933 ukazała się publikacja — Cyprian Norwid: „Poezje wybrane z całej odszukanej po dziś puszcziny poety”. W grudniu tegoż roku trzy tomiki „Ineditów”.

Ta opieszalszość wydawnicza wzbudzała zrozumiały niepokój czytelników. „Wiadomości Literackie” w nr 565 z 16. IX. 1934 r. piórem swego felietonisty Antoniego Stonimskiego zapytywały: „Jakże więc były powody tego aresztu domowego położonego na Norwidzie? Cóż to za dziwny odkrywca, który nie pragnie podzielić się swym odkryciem z całym światem?”. Ze swadą, która zawsze cechowała piarstwo Stonimskiego, poeta atakuje: „Czyżby to była zarozumiałość nadętej ropuchy, pogarda dla świata, który niegodny jest Norwida, bo Norwida godziłem jest czytać tylko Miriam? Czyżby to zarozumiałe mniemanie, że przypisy ważniejsze są od wierszy? A może pcha podupadłego tłumacza i klepskie-

go poety, który okazuje w ten sposób swą ważność? Trudno znaleźć rozsądne motywy tego postępowania. Chyba brak czasu, chyba to, że Miriam tak był zajęty o rano układaniem misternej fryzury przykrywającej łysinę, że nie mógł nadażyć do wieczora. Zarówno ta fryzurka na łysinie jak i ostatni występ w Paryżu. (Miriam uczestniczył tam w uroczystościach Mickiewiczowskich — K. F.), jak cała prezencja Miriamy każe się domyślać, że mamy do czynienia z ostrym wypadkiem megalomanii”.

Publiczność solidaryzowała się z tą opinią, tym bardziej, że Norwid wydawany był nie tylko, opleśzale, ale i bardzo kosztownie. Za Miriamowskie wydanie trzeba było płacić niebagatelną sumę 120 złotych. Było to wreszcie jedyny pełny, chociaż ciągle niezupełny,

KONRAD FREJDLICH

„Coś ty Atenom zrobił...”

wydanie dzieł poety. Toteż liczni wielbicieli Norwida z ulgą przyjęli wiadomość o rozpisanu przez firmę „Parnas Polski” subskrypcji na „Dzieła Cypriana Norwida”. Cena tej edycji w porównaniu z Miriamowską była rzeczywiście niska. Subskrybent otrzymywał całokształt opublikowanego dorobku artystycznego poety za 8 złotych i 50 groszy. W roku 1934 opasy tom, liczący ponad 600 bardzo gęsto zadrukowanych stron znalazł się w rękach czytelników. Poprzedzał go obszerny (XLVIII stron) „krytyczny wstęp” prof. Tadeusza Piniego, który był jednocześnie wydawcą i autorem objaśnień.

I wtedy nastąpiła pierwsza przykra niespodzianka, okazało się bowiem, że wydawca przejął żenujące niezrozumienie Norwida. Gdyby prof. Pini ograniczył się tylko do wzbudzających wesołość przypisów, skończyłoby się może na paru żartach i sprawa poszłaby w zapomnienie. Czytelnik darowałby zapewne wydawcy jego belferską słabość. Ale Pini ma ambicje naukowe, aby Norwida oceniać, a nawet poprawiać i naprawiać.

Nie więc dziwnego, że „Dzieła Cypriana Norwida” wydane przez

wie bez namysłu stekiem niedorzeczności. Co więcej, chciał go przedrukować fragmentami w „Camera obscura”. Ale kiedy zabral się do odczytywania przypisków wydawcy, zaraz na pierwszej stronie znalazł taką definicję słowa: niedorzeczność. „Niedorzeczność: wszelkie twierdzenie naszych przeciwników niezgodne z naszą rutyną lub przekraczające naszą inteligencję”. Wtedy zawałał się. Bo pomyślał: „Co za wspaniała asekuracja! A to bym wpadł!” Odtąd jest z całym uszanowaniem dla pana profesora”.

Bezlitośnie wydrwiwając wszystkie absurdy komentarzy Piniego, współczując profesorskiemu trudowi, obnażając niedorzeczności „filologiczne” objaśnień. Fik zakończył recenzję miażdżącym stwierdzeniem: „Czymże jest to całe wydanie Norwida? Jest nie-

samowitym preparatem z genialnego poety, dziwnym, śmiesznym, profesorskim preparatem”.

Jeszcze gwałtowniej zareagował odkrywca i dotychczasowy wydawca Norwida, Miriam. W sądzie okręgowym znalazła się jego skarga karna wniesiona przeciwko niefortunnemu wydawcy z profesorskim tytułem. Żąda w niej m. in. konfiskaty dzieł Norwida opublikowanych przez Piniego. Nie mogąc skazać profesora za niezrozumienie Norwida, Miriam oskarżyła Piniego o naruszenie nabytych przez siebie praw do spuścizny po poecie.

„Naturalnie nie o mnie, niedźnego robaka, tu chodzi — odpowiedział natychmiast w życzliwie do niego usposobionych „Wiadomościach Literackich” prof. Pini (Nr 751 z 28. X. 1934) — dokumenty, które mam w ręku, rzucają sporo światła na postać ex-ministra sztuki i kultury, członka Akademii Literatury, znanego pisarza, tłumacza i wydawcy. Zenona Przesmyckiego (Miriamy)”.

W ślad za tymi grzechnościami profesor, na podstawie załączonych do aktu oskarżenia dokumentów ujawnia, że Miriam nabył w roku 1909 od wdowy po bracie Cypriana, Ludwiku Norwidzie, za 100 rubli wyłączne prawo wydawania dzieł poety. Ujawniwszy to Pini przechodzi do ataku: „Trzeba przyznać, że interes był dobry, a tak świetnie można go było załatwić tylko dzięki temu, że pani Anna Norwidowa, z pochodzenia Francuzka, żyła wówczas w Krakowie po prostu w nędzy”, Pini zarzuca wreszcie Miriamowi, że jako minister kultury nadużył swych uprawnień do takiego zredagowania ustawy o prawie autorskim, aby chroniła ona jego roszczenia do spuścizny po Norwidzie nawet w 60 lat po śmierci autora (Cyprian Norwid zmarł w maju 1883 r.).

Na zarzuty te odpowiedział Miriam w nr 319 „Kurier Warszawski” z r. 1934: „Uważam za niemożliwe prowadzić dyskusję prasową z kimś przeciw komu wniosłem skargę karną a kto nie waha się, celem wprowadzenia w błąd opinii publicznej, przytoczyć, jak to uczynił p. Pini, połowę aktu reżentałnego, zatajając drugą, z której jasno wynika, że owo nabywanie praw autorskich Norwida za 100 rubli jest pospolitą, świadomą zmyśleniem”.

Wobec takiego postawienia sprawy „Wiadomości Literackie” (Nr 577 z 9. IX. 1934) ujawniły pozostałą część wspomnianego aktu, pod którym figuruje podpis Anny Norwidowej: „O ile p. Zenon Przesmycki zechce mi przy wykonywaniu przez siebie lub swego praworządcę praw autorskich Cypriana Norwida wypłacać tantieme, jak to przedtem czynił, będzie to z jego strony tylko aktem dobrej woli, nie stanowiąc prejury na przyszłość. Wreszcie oświadczam, że żrętkiem wyrażnie prawa uniważnienia zawarej z p. Zenonem Przesmyckim umowy z jakiegokolwiek powodu”.

Zanim potępimy Miriam jako bezwzględnie wyzyskiwacza, zapoznajmy się z innymi wyjaśnieniami. Okazuje się wówczas, że Miriam zawarł z Anną Norwidową wspomnianą umowę tylko dlatego, żeby zamaskować przed starszą fakt, że jego pomoc materialna jest najpospolitszym wsparciem. Ludwik Norwid umarł bowiem przed Cyprianem i w tej sytuacji wdowa po Ludwiku nie mogła dziedziczyć praw autorskich poety. Umowa przenosząca na Miriamą nieistniejące prawa nie miała więc żadnej mocy.

Toteż występując przed sądem w charakterze oskarżyciela „prywatnego Miriam” powołał się na to, że „przysługują mu samolne prawa autorskie jako wydawcy Norwida i jako poecie”. Profesor Pini na rozprawę nie przybył, obrona usprawiedliwiła nieobecność oskarżonego jego chorobą sercową zażądała też powołania w charakterze biegłych profesorów Ujejskiego i Chrzanowskiego. Rozprawę tę, która odbyła się 19 lutego 1935 r. „Wiadomości Literackie” (Nr 589 z 3. III. 1935) skomentowały uszczypliwą uwagą: „Rozprawa o puściznę po Norwidzie zaczyna wchodzić w stadium interesujące i paradoksalne. Pan Przesmycki zgłasza prawo nie tylko jako spadkobierca, na zasadzie aktów, sporządzonych już po wniesieniu aktu oskarżenia, ale zgłasza również prawa jako autor i współtwórca dzieł Norwida. Na rozprawie padły słowa, że p. Przesmycki jako poeta zajmował się opracowaniem tej puścizny i dlatego też temu jako poecie przysługują winno samolne prawa autorskie. Słowem zamiast utworów Norwida, będziemy mieli niedługo dzieła Norwida — Przesmyckiego”.

Rozstrzygnięcie nastąpiło dopiero podczas trzeciej rozprawy, 27 września 1935 r. Jako oskarżyciela prywatni wystąpili: Miriam, Janina Mortkowiczowa oraz Leopold Wellisz, który sfinansował edycję norwidowską. Pełnomocnikami oskarżycieli byli adwokaci: Gustaw Beylin i Jan Lesman, znany później jako Jan Brzechwa. Na ławie oskarżonych obok Piniego zasiadł Aleksander Pleban, właściciel „Parnasu Polskiego”. Ich pełnomocnikiem procesowym był adwokat Emil Breiter.

Niemal cały przewód sądowy poświęcony był zeznaniom biegłych. Obok profesorów Ignacego Chrzanowskiego i Józefa Ujejskiego przedstawił swoją opinię także prof. Aureli Drogoszewski oraz Jan Lorentowicz i Stanisław Miłaszewski. Wszyscy oni bardzo pochlebnie ocenili Miriamowską edycję Norwida i wskazali szereg niedokładności i przeinaczeń w wydaniu dzieł poety dokonanych przez Piniego. Jedynie prof. Ujejski podkreślił samodzielny wysiłek Piniego w układach i chronologii tekstu „Dzieł C. Norwida” wydanych przez „Parnas”. Jednocześnie jednak niemal wszyscy biegli wskazywali, że konieczne jest wydanie popularne dzieł poety.

Nie chce wdawać się tu zbyt w kazuistykę prawniczą, toteż powołam się na najbardziej charakterystyczny fragment przemówienia obrońcy Breitera: „Najpierw przedstawiono umowę z Anną Norwidową, a gdy ten dokument zdemaskowano w „Wiadomościach Literackich”, zaczęto szukać innych rzeczy i innych dokumentów. I co nam pokazano? Pokazano rzecz śmieszna, pozbawioną wszelkiego znaczenia. Pokazano wyjątek z listu prywatnego p. Marii Lempickiej, brataniicy Norwida, upoważniającej p. Przesmyckiego do wydania dzieł Norwida. Przecież to są żarty! Czy p. Przesmycki jest w tej sprawie oskarżycielem, czy pełnomocnikiem p. Lempickiej? W fok procesu, już po wniesieniu aktu oskarżenia składa się dokumenty „stwierdzające w jakim stopniu pokrewieństwa z Cyprianem Norwidem są te osoby, które udzieliły pełnomocnictwa oskarżycielowi prywatnemu”. A więc p. Przesmycki opiera swoje prawa autorskie na jakimś pełnomocnictwie! Czy można występować w charakterze oskarżyciela będąc pełnomocnikiem innej osoby? Pan Przesmycki przedstawia upoważnienie do wydania Norwida od p. Lempickiej, ale ponieważ zdal sobie sprawę, że takie pełnomocnictwo nie stwarza żadnych praw a z chwilą śmierci p. Lempickiej wygasa wezwał na pomoc dzieci p. Lempickiej i w kilka miesięcy po wytoczeniu aktu oskarżenia —



JAKIEJ FILOZOFII
POLACY POTRZEBUJĄ?

W „Bibliotece Klasyków Filozofii” ukazała się po-
kazanych rozmiarów książka
„Jakiej filozofii Polacy
potrzebują?”. Władysław
Tatarkiewicz, autor wybo-
ru i wstępu, pocięcił w
niej dziewiętnaście roz-
praw polskich myślicieli i
uczonych, napisanych i o-
głoszonych w latach 1800—
1930. Był to okres pomię-
dzy Oświeceniem a Ro-
mantyzmem. Okres przygo-
towania do dalszych dzia-
łań w kraju, który utracił
niepodległość. Wśród auto-
rów rozpraw znajdują się
tacy znani jak Jędrzej Śnia-
decki czy Fryderyk Skar-
bek oraz inni.

Władysław Tatarkiewicz
pisze we wstępie: „Dzisie-
szego czytelnika do roz-
praw tych może podągnąć
nie tylko ich dawność, ale
także ich zalety: pewna
prostota, bezpretensjonal-
ność myślenia, common
sense, naturalność wyso-
wienia o tyle większa niż
w heglizmie i mesjanizmie,
nie używanie abstrakcji,
ezoterycznych zwrotów, za-
wodowo-naukowego stylu”.
Święta prawda. Ale do czy-
tania zachęca jeszcze i coś
ponadto: uwagi i myśli,
które — mimo tak wielkie-
go upływu lat — zachowa-
ły swoją wartość. W roz-
prawie „Etyka i polityka”
Fryderyk Skarbek napisał
na przykład: „Interes pry-
watny jest podbudą czyn-
ności każdego człowieka,
dobro narodu jest celem
życzeń i zamiarów wszy-
stkich członków jego”.

Książka przynosi wiele
ciekawego materiału do
rozmyślań. Jk.

*) Państwowe Wyd. Na-
ukowe, Warszawa 1970.

KSIAŻKA O PROUSCIE

Dla wszystkich miłośni-
ków Marcela Prousta jest
to publikacja wręcz nie-
zbędna. *) Jan Błoński do-
konał wyboru, poprzedził
wstępem i niejedną ze szki-
eów sam na polski prze-
łożył — z tego, co na świe-
cie, przede wszystkim we
Francji, napisano o auto-
rze. „W poszukiwaniu stra-
conego czasu”. Książka
dzieli się na dwie części:
W oczach współczesnych i
W oczach potomnych. W
pierwszej części znajdziemy
wspomnienia i wypo-
wiedzi współczesnych Pro-
ustowi.

W części drugiej Błoński
zgrupował rozprawy i e-
seje o charakterze litera-
ko-histycznym, wśród
których nie zabrakło rów-
nież autorów angielskich i
niemieckich. Książkę czyta
się z dużym zainteresowa-
niem. Jest ona znakomitą
przewodnikiem po labiryn-
tach twórczości Prousta,
przynosi też sporo szczegó-
łów biograficznych i uwag
i spostrzeżeń o życiu kul-
turalnym minionych epok.

Chwalec jednak tę cenną
antologię głosów o Prou-
ście, należy wyrazić żal, że
Jan Błoński nie włączył do
niej ocen polskich kryty-
ków Prousta, o choćby te-
go, co o Prouście pisał je-
go znakomity tłumacz pol-
ski — Tadeusz Boy-Zelen-
ski. Nie jest wykluczone, że
książka ta trafi do rąk za-
granicznych krytyków.
Uwzględnienie w niej pol-
skich studiów o Prouście
byłoby ze wszech miar u-
zasadnione. Jk.

*) „Proust w oczach
krytyki światowej”, Pań-
stwowy Instytut Wydawni-
czy, Warszawa 1970.



C. Norwid: Portret własny

Piniego znalazły się pod surowym
obstrzałem krytyki. Ignacy Fik
rozpoczął swój felieton opubliko-
wany w nr 1 „Tygodnika Arty-
stów” z r. 1934 od znamiennego
wyznania: „Znam człowieka, bar-
dzo opanowanego, ale bez poczu-
cia humoru, który wstęp Piniego
do „Dzieł C. Norwida” nazwał pra-

Dalszy ciąg na str. 9

Dokładnie sto lat temu, w 1871 roku Karol Darwin opublikował swą słynną pracę naukową „O pochodzeniu człowieka”. Było to w dziejach ludzkości jedno z najbardziej niesympatycznych odkryć naukowych, nie dziwnego, że wywołało fale protestów i oburzenia przede wszystkim wśród dostojnych lordów angielskich odziedzających się od wszelkiego pokrewieństwa ze światem zwierzęcym. Dziś jednak odeszliśmy od naszych przodków nadzwyczaj daleko, mamy najwyższy rozwój psychiki i życia społecznego, mamy kulturę i zdolność wytwarzania jej, produkujemy narzędzia pracy i posługujemy się nimi. Obserwujemy i badamy świat zwierzęcy. Uczeń snują hipotezy na temat życia na innych planetach, gdzie być może w procesie ewolucji wykształciły się również istoty rozumne.

Ale my, zwykli śmiertelnicy kochamy nasze, znane zwierzęta, a stosunek do nich jest miernikiem naszej kultury. Zaś najpopularniejszym obiektem obserwacji, ze względu na inteligencję i reakcje, są w każdym ogrodzie zoologicznym małpy. Czy taktownie będzie odwiedzić je w rocznicę opublikowania teorii darwinowskiej?

Kierownictwo łódzkiego ZOO porządkuje swoje zbiory pod kątem uzupełnienia pewnych kolekcji. Po skompletowaniu wszystkich przedstawicieli rodziny wielbłądowatych (nasz Ogród Zoologiczny, jako jedyny w kraju, ma tak bogaty zestaw przedstawicieli tej grupy), zamierza uzupełnić kolekcję koczokodanów, małp bardzo urodziwych i oryginalnych. Kolekcja małp w łódzkim ZOO jest w tej chwili dość bogata. Ilościowo na pierwsze miejsce wysuwa się zasiedlająca już tutaj rodzina pawianów. Zwabiona stołcem wywedrowała już na swoje skaliste wybiegi na otwartej przestrzeni. Nie jest to jeszcze pełnia szczęścia, bo noce i ranki chłodne, ale zawsze to już zapowiedź lepszych czasów. W łódzkiej gromadzie pawianów szykują się pewne zmiany, być może nowa abdykacja. Pierwsza głowa stada — Maks, abdykował już parę lat temu na rzecz swego syna Agapita i odstąpił mu wszystkie prawa głowy rodziny. Maks nie żyje od zeszłego roku, miał 28 lat, to dla pawiana w niewoli wiek sędziwy. Agapit ma w tej chwili 19 lat i zwolna zaczyna tracić autorytet. Jego młodszy brat, również syn Maksa, 10-letni Robinson, do którego przylgnęła nazwa Obdartusa z powodu jakichś zaniedbań w toalecie w latach dzieciennych, dąży do przejęcia władzy, na razie jednak zakłada własne stado. Rodzina rozбивa się więc, ale

TERESA WOJCIECHOWSKA

Czy Agapit abdykuje?

dla bywalców ZOO nie będzie to miało większego znaczenia.

Pawiany, wśród wielu odmian małp wykazują największy instynkt życia społecznego. Na wolności żyją hordami dochodzącymi nawet do 300 osobników. Na hordy takie składają się stada podstawowe. Łączy je wspólne miejsce noclegu na skalach, do którego powracają z dnia. Żerowania. Każde stado składa się z samca, kilku samic i ich dzieci. Ale podrażniające osobniki przechodzą często do innych stad. Młode, 3-4-letnie samce usamodzielniają się i rozglądają za założeniem własnej rodziny. Głowa stada ma przywileje, ma i obowiązki. Wymaga posłuszeństwa, którego zresztą nikt nie kwestionuje, jest za to opiekunem całej rodziny. Instynkt opiekuńczy jest rozwinięty u pawianów bardzo silnie, szczególnie na wolności, gdzie wchodzi w grę niebezpieczeństwo zagrażające stadu. W obliczu tego niebezpieczeństwa starsze osobniki zawsze osłaniają młodsze, zatrzymują wroga, by młode miały czas się ukryć. Podczas pokonywania trudnych terenów samiec potrafi zrobić z siebie pomost, po którym przechodzą mniej zaradni członkowie rodziny. Ale i w niewoli ten instynkt nie wygasa. Gdy stado wychodzi na wybieg, samiec wyprowadza je, a następnie wraca, by sprawdzić czy wszystko jest w porządku, czy nikt nie został.

Zoologia dzieli małpy na

wąskonosie — ze Starego Świata (Afryka, Azja), do których należą i człokształtne. Są one inteligentniejsze, wyżej zorganizowane niż druga grupa — szerokonosie — przedstawiciele Nowego Świata (Ameryka). Badanie inteligencji tych zwierząt, możliwości rozwijania jej, prowadzone są w wielu ośrodkach świata, obejmując małpy najwyższej zorganizowane — człokształtne (przede wszystkim szympansy). Stwierdzono już, że małpa potrafi posługiwać się narzędziami podsunętymi jej przez człowieka, ale potrafi również radzić sobie sama. Oglądałam kiedyś film, na którym szympanś zerwał gałąź, oczyścił ją z liści, a następnie użył jako patyka do wydobywania owadów z ziemi. Mgr Waldemar Pilniak, który opiekuje się tym działem zwierząt w łódzkim ZOO, opowiada mi, że nawet bardziej prymitywne, szerokonose kapucynki, wykazują dużą zaradność w zdobywaniu pokarmu. Jeśli na przykład dostaną śliwkę, to po zjedzeniu owocu, starają się otworzyć pestkę, by wydobyć z niej jądro. Jedną z kapucynek użyla kamienia dla rozbicia skorupy orzecha.

Mowa małp to nie tylko dźwięki oznaczające zadowolenie lub niezadowolenie, ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem. Wyrażają one swoje uczucia również za pomocą mimiki, marszczenia czoła, ruchu warg itd. Na przykład obnażanie zębów, a

następnie otwieranie ust, przypominające ziewanie — oznacza ostrzeżenie: widziałem moją zębę? uważaj, bo są ostre!

Pawilon małp został ostatnio wyremontowany, odnowiony. Wygląda czysto i estetycznie. Każda z przegród ma wyjście do klatki na powietrze. Eksperyment pozwalający małpom dostępu do świeżego powietrza w ciągu całego roku, dał zaskakujące rezultaty. Zwierzęta przestały chorować na gruźlicę, chowały się znacznie lepiej.

Kierownictwo Ogrodu ma rację zamierzając powiększyć kolekcję koczokodanów. To bardzo ładne i oryginalne małpki. Na przykład koczokodan nie bez racji zwany nadobnym. Bardzo przypomina krasnoludka z białą brodką i czarną czapeczką o brązowym trójkątnym daszku nad czołem. Koczokodan diana jest czarny, ma długą spiczastą białą brodę przechodzącą w białą gors.

Moim informatorzy — mgr Ślusarska i mgr Pilniak nie uznają określeń: ładniejszy i brzydszy. Ja jednak uważam, że najładniejsze wśród małp są białorękie gibbony, małpy stojące na granicy człokształtnych. Dwa łódzkie okazy: Piętaszek i Robinson mają długą jedwabistą sierść koloru beż i czarne, inteligentne, bardzo ludzkie i bardzo smutne twarze. Są to małpy typowo nadrzewne o bardzo długich rękach i nadzwyczaj chwytliwych palcach. Odnoszą się do siebie lekko, harmonijnie, niemal tanecznymi ruchami. Jednym zwinnym, kocim ruchem układają się na linach, sadowią na pieńkach, przysiadają po starożytnych bożków. Jakby wiedziały, że człowiek chętnie w nich widział uosobienie bóstwa. Starożytni Egipcjanie oddawali boski hołd pawianowi płaszczywemu. Hindusi czcili hulmana — małpę z rodziny koczokodanów. Anglicy, którym ich rodak Darwin ogłosił swoją teorię, odziedziczyli od niej zrazu. Potem ją przyjęli, bo są narodem racjonalistów. Ale... w Gibraltarze żyje do dziś czterdzieści małp na żółdziej angielskiej. Karają je i hodują żołnierze brytyjscy stacjonujący w twierdzy. Małpy te są prawie święte, istnieje bowiem legenda mówiąca, że tak długo Anglicy będą panami Gibraltaru jak długo będą tam żyły małpy.

★ ★ ★

Jest słoneczny kwietniowy dzień i choć dopiero zaczyna zielenić się trawa, dopiero pierwszy cień pączków rysuje się na nagich gałęziach drzew, a już wiosna wydobywa uroki pięknego położenia naszego Ogrodu Zoo-

gicznego. A ja mam pretekst. Trochę do kierownictwa ZOO, a więcej do łódzkiej Telewizji. Mamy jeden z pięknie położonych, jeden z najciekawszych pod względem zbiorów ogrodów zoologicznych w kraju. Ma wspaniałą kolekcję kotów z unikalnymi w kraju gepardami, ma pełną kolekcję wielbłądowatych, ma eksperymentalną hodowlę niedźwiedzi, i tak dalej i dalej. Tymczasem oglądamy w telewizji audycje z wrocławskiego, z warszawskiego, z poznańskiego ZOO, tylko z łódzkiego nie. Choć jest wreszcie wóz transmisyjny i nie ma chyba przeszkód, by pracę naukową, by dorobek łódzkiego Zoologu popularyzować, by się nim chwalić. A także by mu pomóc w realizacji dalszych zamierzeń. Po-

dyskutować nad możliwością powiększenia terenu Ogrodu, który staje się coraz ciasniejszy i będzie jeszcze ciasniejszy. Miejskie Biuro Projektów Architektonicznych obiecało w czynne społeczne opracować projekt pawilonu i wybiegu dla żyraf, które mają już wszystkie bodaj ogrody w Polsce z wyjątkiem Łodzi. Powierzchnia Ogrodu stale się kurczy w miarę jak przybywa zwierząt, a przybywać musi. Trzy siostry tygrysy otrzymały wreszcie (we wrześniu) partnera — Albasina, przybył piękny i trudny do chowania mrówkojad, coraz to przybywa nowych pomieszczeń dla nowych mieszkańców. Łódzki Ogród Zoologiczny ma wiele trudności, w których rozwiązaniu trzeba mu pomóc.



Mandryl, pięknie ubarwiona małpa, najbardziej kolorowy ze ssaków.

Fot. R. Cwikliński

Bicz na leworecznych

Dalszy ciąg ze str. 5

tego aby do dokonania przestępstwa nie doszło to właśnie podstawowe założenie projektowanej ustawy.

W stosunku do osób prowadzących pasywny tryb życia, w celu wdrożenia ich do pracy, projekt ustawy przewiduje stosowanie trzech środków oddziaływania społecznego: przeprowadzenie rozmowy ostrzegawczej, oddanie pod nadzór wychowawczy, umieszczenie w ośrodku pracy wychowawczej.

Ta kolejność stosowania wskazanych środków jest w zasadzie obowiązująca, z tym, że zakłada się pewną elastyczność postępowania. Projekt dopuszcza mianowicie, pominięcie oddania pod nadzór wychowawczy i skierowanie bezpośrednie do ośrodka pracy wychowawczej. Chodzi oczywiście o sytuację, kiedy z góry wiadomo, że tylko za-

stosowanie tego ostatniego środka może być skuteczne.

Rozmowa ostrzegawcza polegać będzie na zwróceniu osobie wezwanej uwagi na niewłaściwość jej postępowania, określeniu terminu dobrowolnego podjęcia pracy lub nauki zawodu i uprzedzeniu o konsekwencjach wynikających z przepisów ustawy. Ten środek oddziaływania społecznego stosowany będzie przez organ spraw wewnętrznych przydziału rady narodowej, właściwej ze względu na miejsce zamieszkania osoby. Projekt ustawy przewiduje, iż w razie potrzeby, osobie wezwanej należy udzielić pomocy poprzez skierowanie do pracy lub nauki zawodu.

Kolejny środek oddziaływania społecznego — nadzór wychowawczy, stosowany będzie wobec osoby, która pomimo przeprowadzonej z nią rozmowy ostrzegawczej, nie zerwała z pasywnym trybem życia. Nadzór wychowawczy będzie

stosowany przez okres nie przekraczający 3 lat, a jego sprawowanie zostanie powierzone kuratorowi społecznemu. Nadzorowany będzie zobowiązany do podjęcia pracy lub nauki zawodu na zasadzie skierowania do uspołecznionego zakładu pracy. O ustanowieniu nadzoru wychowawczego decyduwać mają kolegia do spraw wykroczeń przy prezydiach rad narodowych.

Obok podstawowego obowiązku jakim jest podjęcie pracy, osoba poddana nadzorowi może być zobowiązana do niezmienniania miejsca pobytu bez zezwolenia, może być jej zakazany pobyt w określonych miejscowościach albo zmuszona będzie przebywać w wyznaczonym jej miejscu. Projekt ustawy przewiduje też możliwość nakładania na nadzorowanego innych obowiązków, wśród których w szczególności wymienienia:

- * wykonywanie ciężkiego na nadzorowanym obowiązku położenia na utrzymanie innej osoby,
- * powstrzymanie się od nadużywania alkoholu,
- * poddanie się leczeniu odwykowemu.

W czasie trwania nadzoru wychowawczego, o ile przemawiać za tym będą względy wychowawcze, na wniosek kuratora społecznego

lub z urzędu będzie można ustanawiać, rozszerzać lub zmieniać nałożone obowiązki albo od wykonywania tych obowiązków lub od nadzoru zwolnić. Zależać to będzie od postawy nadzorowanego, a zwłaszcza od jego stosunku do pracy. Unormowanie to zasługuje na szczególne podkreślenie. Czynnikiem bowiem z nadzoru wychowawczego środek elastyczny, stwarzający możliwość daleko idącej indywidualizacji w zależności od konkretnych potrzeb wyłaniających się na tle konkretnych przypadków.

Trzeci i ostatni środek oddziaływania społecznego polega na umieszczeniu w ośrodku pracy wychowawczej. Jest to środek najsurowszy. Będzie on stosowany wówczas, gdy ani rozmowa ostrzegawcza, ani nadzór wychowawczy nie doprowadziły do zerwania z pasywnym trybem życia przez osobę, wobec której środki te były stosowane. Umieszczenie w ośrodku pracy wychowawczej stwarza poważne ograniczenie wolności. Decyzję co do zastosowania tego środka projekt przekazuje do kompetencji sądu powiatowego. Czasu pobytu w ośrodku pracy wychowawczej nie określa się z góry. Pobyt w ośrodku trwać będzie tak długo, jak będą tego wymagać cele wychowawcze, nie może jednak trwać krócej

niz 3 miesiące i dłużej niż 3 lata.

Z konieczności zwięzła charakterystyka środków oddziaływania społecznego w stosunku do osób prowadzących pasywny tryb życia, zwłaszcza umieszczenie w ośrodku pracy wychowawczej, wskazuje z jednej strony na wychowawczy charakter tych środków, z drugiej zaś, pozwala upatrywać w nich cechy pozwalające zaliczyć te środki do zespołu poczyną o charakterze administracyjno-zabezpieczającym.

W całości, przepisy projektu ustawy stanowią, charakterystyczny dla państwa socjalistycznego, przykład włączenia sił społecznych do udziału w zwalczaniu zjawisk negatywnych, społecznie szkodliwych. Można wyrazić opinię, że skuteczność projektowanych przedsięwzięć w zakresie zwalczania pasywności społecznej zależy będzie w głównej mierze od sprawnego współdziałania z siłami społecznymi organów powołanych do stosowania, przewidzianych przez projekt ustawy środków. Powiązanie tych dwu czynników będzie w praktyce stanowić najistotniejszy warunek skutecznego wykonania ustawy. Jej skuteczność zależy będzie od tego, czy współdziałanie to będzie rzeczywiste i konsekwentne.

STEFAN LELENTAL

Kociak rozłupuje polano na drobne szczapki. Elżbieta kleczy przed otwartym piecem i rzuca na ruszt brykiety.

— Co pani ma na nosie? Pomidor? — zażartowałem, jak w naszych dawnych szkolnych czasach.

To kolorystyczne skojarzenie nie jest trafne. Trafne byłoby, gdybym powiedział: Pani ma na nosie rubiny, we włosach rubiny, pani jest cała z rubinu.

Szczepok miesza płyny po aptekarsku. Okulary zjechały mu na czubek nosa. Zmarszczenie brwi — znak znawstwa. Mój deputatowy spirytus zalewa płynnym passem, a bimber Heńki i Kaśki kołem-mogłem na sacharynie.

— No, co? — pyta biorąc ode mnie pusty kieliszek.

— Zaprawiasz chyba jak sam Sarasate.

— Eksperyencja. I ty się nauczysz, jak będziesz miał tyle lat co ja. Dwadzieścia pięć, ćwiartka życia. Niedługo trzaśnie życia półlitrowa.

— Czy lubisz tartinki ze śledzi-kiem? — zawołała do mnie z kuchni Inka Kaśka.

„Śledzik” jest też naszym wynalazkiem. Jest to papka z drobno pokrajanej cebuli i posolonego tranu. Z czasem dowiedziałem się, że tego samego wynalazku dokonało w tym czasie pół Polski.

— Śledź umowny smaczniejszy od naturalistycznego — odzywa się znad patefonu Inka. Ostatnio bawi siebie i nas używaniem dla najbardziej przyjemnych stwierdzeń terminów z rozpraw Irzykowskiego i Fika, które właśnie studiujemy.

Nie klócimy się — myślę o nas. Umiemy dzielić się zadaniami. Każdy krzta się dla całości. Jest tak pracowicie, miło i spokojnie jak na rysunkowym filmie „Królewna Śnieżka”, na którym byłem przed wojną. Siedziałem na nim w „Paladium” aż przez trzy seanse. Na filmie nie było wojny i teraz też, kiedy schodzimy się razem i każdy oddzielnie krzta się dla całości, nie ma wojny. Jesteśmy jakąś dużą, młodą rodziną. Przyjemniejszą od naszych rodzin prawdziwych, gdzie zawsze jest wojna.

— No, już! Wkładaj koronę — mówi Elżbieta i podaje mi ją wraz z płaszczem w ciapki pana Dobrzańskiego.

Elżbieta, Inka i Zula (podobno miała jakieś trudności w domu, ale „ciotka Telimena” się wstawiła, bo dziewczyna bardzo chciała przyjechać) przyczepiają brody i wąsy.

„Świat miał szesnaście lat, jak wino bli do głowy...” —

ogłasza patefon. Marszczę brwi. Dopiero teraz uzmysłowilem sobie, że go ktoś przytaczał.

— Heńka! Kaśka! Przecież miało być bez trabowija! Mówiliśmy, że tylko cytra Szczepka i grzebień!

— Heńka! Kaśka! Zaczynamy! Jak wasi protegowani mają przysięść, to i tak przyjdą. Bez waszego wystawiania pod drzwi. Dajemy im spokój. Szczepok oparł palce na strunach. Struny biegły niby przewody wysokiego napięcia nad okrągłą jamą i złoty konterfekt Wolności, gdyż cytra jest amerykańska.

— „Do wujka starca przyszło dziecię raz...” — Wszyscy śpiewają, nie tylko tańczą! — przerywa swoje solo Szczepok i egzekwuje wczorajszą uchwałę.

Tej piosenki przed wojną nikt nie znał. Nauczylismy się jej teraz dopiero, bo „staropolska”. Sposób tańczenia jest za to nowy, przez nas wymyślony. Choć nie całkiem. Byliśmy przed wojną w Narodowym na „Weselu”. Na abanamenty. Solski grał Gospodarza, Węgrzyn — Stańczyka. W ostatniej scenie, tak właśnie jak my teraz, tańczyli weselnicy — trzymając się za ramiona, sztywno, na odległość wciągniętych rąk.

— Głośniej! Wszyscy co do jednego! Kociak! — rozkazuje Szczepok.

— Słucha go cytra, słuchamy my — jedna rodzina. Tylko Heńka i Kaśka siedzą w kuchni i nie mogą się doczekać swoich gości. Myślę o jutrzejszym dniu. Matka na pewno i teraz wynalucha, że coś się święci. Szaleje wtedy, chowa mi buty, każe przysięgać przed Matką Boską z Lourdes, że nie pójdę i nie będę się „w żadnych tych tam narażał”. Nie boję się jutrzejszego dnia, jutro będę się bał, ale nie dziś, nie teraz... Szczepok wybrzkuje nolkę „Nadwiślanke”, zaraz przejdzie w polkę galopkę.

— Przyszli, przyszli! — klaszczę w dłonie Kaśka. Weale ich nie wypędza, jak nas, z powrotem na ganek, żeby oczyścić porządnie buty ze śniegu.

— Gość w dom, zakąski na szafę — mruczy Kociak.

Ten wyższy, Szymkowiak, wręcza Kaśce pudło czekoladek i „ciacha”. Pzaty — to pewnie ów wychwalany „myślacy” Staś — stawia przed Heńką wino. Wino jest zagraniczne, pewnie z któregoś z krajów współcierpiących.

Przykro mnie uderza, że zamiast postawić swoje składkowe dyskretnie jak wszyscy, wręczają je siostrze z galanterijnym cmo-kaniem po łapach, jak jakie prywatne prezenty imieninowe.

Teraz przerwa. Nie za długa, nie za krótka, w sam raz, żeby przekonali się, że improwizuję, a nie powtarzam z pamięci toast ułożony wczoraj:

Życzą dziś sobie: „Aj matsch yyyyyy!”.

Śmiech Inki i naszych chłopców. Ja nie znam mowy kiwasili, Przeto nim gardiło złoże dań, Po polsku wzniosę, moi mili, Toast za zdrowie z brodą pań!

— To lu! Bo stygnie — wyprzedza Szymkowiak oklaski i pije-m tak jakby mojej improwizacji nie było.

Zastanawiam się, czy lepiej zacząć śpiew przy stole od „Szyknareczko, szafareczko”, czy od „Wesoło żeglujmy, wesoło”.

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

WYPOWIEDZENIE WOJNY

Szymkowiak może zauważył moje spojrzenie, bo oznajmia głośno, że wino jest efektem „kręcenia tymczasowych”, a ciacha dostał po znajomości od Polki, ekspedientki sklepu „nur fuer Deutsche”.

— Es tut mir leid, aber wir sind keine Deutsche, — mruczy pod nosem Szczepok.

— Kiedy wreszcie założycie brody? — umyślnie głośno upominam Kaśkę i Heńkę. Inka manipuluje palcem przy sznurowadłach od brody.

— Przyszło nam do głowy, że panie gustują za szprotami w to-macie — Szymkowiak wyciąga z teczeki puszkę tych rarytasów. Na puszcze rosyjskie napisy.

— Ale nam w czapę dali! — fluknął cicho Kociak.

— Dziękujemy — mówię — ale koleżanki, złotorekcie nasze gospo-sie, właśnie udowodniły, że umowne rolmopsy są nie gorsze od naturalistycznych. — Pokazuje palcem te nasze bękałki z cebuli i tranu.

Krzywią się.

— To takie pomysłowe żarty — zwraca się do nich z ożywieniem Kasia. — On takie różne rzeczy wymyśla — pokazała na mnie. — To nasz król. Mówiłam panom. Dowcipny jest bardzo. Pokaż panom swoje berło i koronę. Bawimy się w takie swoje niby-królestwo. Mówiłam panom — Heńka chwali mnie, niczym niegdyś ciotce w Warszawie, kiedy ka-zały mi deklamować gościom wierszyki. Krew mnie zalała.

— Pokaż, kiedy przestaniecie się bawić we właścicieli sklepu galanterijnego.

Inka trąca mnie nieznacznie w bok.

— Daj spokój. Trzeba umieć się dostosować do innych.

— To chyba oni muszą się do-stosować do tych, do których przyszli.

— Na początku zawsze jest sztywno — mówi cicho Elżbieta do Szczepka. Peleryny w gwiazdy z papieru nie zdjął, tylko brody.

— No to lu, proszę państwa, bo sprit stygnie — zaprasza nie po bazellacku Kociak.

Siadamy do stołu. Elżbieta przy-wiązała brodę z powrotem. Szczepok odśpiewał Zagłobę. Uchwaliłiśmy, że to będzie zawsze nasz hejnał przy stole. Jeszcze trochę wódka postygnie. Postano-wiliśmy, że będą toasty improwi-zowane wierszem. Improwizuję pierwszy, starając się nie patrzeć na tych doproszonych.

W Afryce, kiedy krokodyły, Krokodyłowe leją łzy, Murzyni piją wodę z Nilu...

— Znać, panie, ten najnowszy kawał o Hitlerze i brudnych maj-tkach Blitzmaedel? — pyta Staś poznaniak.

Nim zdążyłem uprzedzić go, że inicjatywy w kwestiach progra-mu przy stole należą do mnie, opowiedział rzecz, której krzepią-ca myśl nie szła w parze z pozio-mem i szacunkiem dla uszu Bro-datych. Jednak uśmiechają się przez uprzejmość i świetnie mas-kują niesmak, ale nie sposób nie zauważyć, że są nieco urażone.

— A Szymkowiak śpiewa ładne rzeczy — oznajmia Staś, gdy skończył — tylko lubi, żeby go ktoś poprosił.

— Prosimy! Prosimy! — mówi za wszystkich Elżbieta.

O, Rosmarie, mój kwiecie

Tyś najpiękniejsza w świecie —

podejmuje Szymkowiak zupełnie niezłym tenorikiem.

— Świetna była twoja improwi-zacja — przyznają po pochwaleniu Szymkowiaka.

— Najbardziej ten onomato-peiczny wtręt z niby murzyńskim zaśpiewem — chwali Inka, opar-szy przez chwilę głowę na moim ramieniu.

— Bardzo szczególnie wymyśl-o-ne — stwierdza bezapelacyjnym tonem Szymkowiak. — Szwały najbardziej naszych chłopców się boją. Póki co, kręci się z nimi. Ale tylko, póki co.

— Wesoło żeglujmy, wesoło!... — podejmuje Szczepok.

Czuje, jak wraca bazeliacki na-strój. Tak właśnie bywa z mo-rzem, które ma swoje odpływy i przypływy...

— Ale mu w czapę dali! — Sylen jak zawsze.

— Oho! Szanujmy ciszę monar-chy, bo jak się obudzi, prelekcję wygłosi — Inka, pociesznie, do Zuli i Heńki. Wydaje mi się, że widzę taki obraz na filmie nie fil-mie: fala przypływu ledwie do-tknęła brzegu, cofa się znowu.

— Budzę panią w kolorze róża-nych snów — Szymkowiak do „cioci Telimeny”.

Ciotka szepem do niego, a za-razem do Heńki i Kaśki:

— Dziś na stacji żandarmi zła-pali jakiegoś chłopca. Przewróci-li, tłukli, kopali, krew się lala, dalej kopali. Na oczach wszyst-kich. Nie chciałam wam tego mó-wić. Chyba załuli na śmierć.

— Za co? — spytała Kaśka. Ale szukanie dla takich rzeczy racji logicznych to nawyk przedwojen-ny. Nasz świat obywa się bez związków przyczynowo-skutko-wych.

— Jak jeszcze raz powiesz o tej czapie! — krzyknęła histerycznie Inka.

— Jacy my jesteśmy nieszczęśli-wi! — zabeczła nagle Heńka, o-puszczając głowę na ramię Staś-ka.

— Zaoliwiła się — mruczy Ko-ciak.

— Nasza świadomość zbiorowe-go nieszczęścia to nie oliwa, co się na wierzch wylewa — Szczep-pek cicho i z dezaprobatą.

— No, to lu! — Staś poznaniak.

Zaczynam walczyć z pierwszym splecieniem myśli. Może przyjdzie jeszcze drugie i trzecie, a to trze-cie jest już upiłem na blachę.

— Mówmy sobie wszyscy „ty”. Marcin mi na imię — powiada-mia Szymkowiak. — Ty! — Chy-ba do mnie?

— Ja prowadzę sklep po naszymu, po poznaniaku — peroruje Staś poznaniak — a nie po króle-wiacku. Jak mi paniusia mówi w sklepie, że chce mi dać dwanaś-cie złotych za szczyrtek, który ja, dajmy na to, skalkulowałem na osiemnaście i pięćdziesiąt groszy, to ja jej powiadam: U mnie są ce-ny stałe, po naszymu, a nie tam jakieś targi po królewiacku. I jak paniusia mówi...

— Jak Czarniecki do Poznania — zaczął Sylen, a my za nim.

— Każdy teraz kręci. Szkopy nas kręcą, ja kręcę Szkopów. Niemcy tracą, Polacy się bogacą, jak mówił jeden poeta. — Mar-cin mówiąc to podrzuca pod lam-pę górala i łapie z powrotem. — O, Rosmarie, mój kwiecie!...

Przypominam o istnieniu pro-gramu.

Szczepok śpiewa piosenkę o ry-cerzu Bibule, co wysuszał dzbany jak bibuła i lał wrogów. Wtórują mu struny amerykańskiej cytry: cichym dźwięczeniem suszą dzba-ny, głośnym leją beztłoniście wro-gów.

— Kolego Szymkowiak, może to jednak dobrze, że nie byliśmy krajem bankierów, tylko krajem plecaków — mówi nagle Szczep-pek bez wyraźnego związku z piosenką.

Kociak rusza chwilejnie w kie-runku patefonu. Stawia go na oknie prosto w szyby. Nakręca.

Schenkt mir dein Herz und dein Jahr...

Szyba błaga w dziwnym języku noc i śnieżycę o serce i darowanie jakiegoś tam roku, a my — wszys-cy, bo i nowi, za szybą i okiennicą na całe gardło:

Zotnierz śmiał się, bo w plecaku

Miał w zapasie drugie serce!

Zbliża się dwunasta.

Patetyczne uderzenia tłuczkiem o tacę: raz, dwa... siedem... dwa-nastcie.

Zapalają się najrozmaitsze myś-li i uczucia. Wszystkie jednocześnie i najdziwniej poplątane. Bicie w tacę — to nasz domowy zwyczaj, zawsze robi to matka — i teraz też o śledem ulicę stad... W tej chwili na całym świecie mi-liony ludzi... Jedna myśl, jedno pragnienie... Na pewno jej przy-kro, że jedyny syn, i w takich czasach, wołał poza domem, z ob-cymi ludźmi... Do Slegów listonosz



przyniósł... na paczce ich nazwis-ko i wyraz „Oświęcim”, a w pacz-ce... Przedwczorajszy koncert u Głorki, tam młodzi i starsi wspólnie słuchali: Wielka Improwiza-cja, Paderewski, Szymanowski, bez węgłupów... Okowiani, małowani ulani, zanurzone znużenie w San, to Pleśniarowicz... mój ko-lega, student, mówię o naszym uniwersytecie przed wojną... W paczce był popiół ich ojca... Ojciec źle wyglądał, matka jeszcze go-rzej...

To ja zarządziłem dwanaście u-derzeń tłuczkiem o tacę i czas na czyn!

Przekręciłem koronę na bakier

i po złożeniu powszechnych dziś życzeń, kiwam na Inkę, mistrza ceremonii. Inka chrząka.

Królu Bazeliatu,

Rabuli zdumionemu światu

Ważne słowo z majestatu —

wzywa mnie Inka. Ma już teraz przypiętą brodę, a Rada Brodatych daje wyraz przywiązaniu do monarchy:

A my, Rada, rada, rada,

Ze monarcha do nas gada.

Jego język jak topota

Niechaj rusza bryle świata.

— My, Aurelian Pierwszy, z łaski Brodatych król Bazeliatu — wołam ostrym głosem — obwiesz-czamy, komu wiedzieć należy i każdemu z osobna, i całemu świa-tu, że z wybiem tej godziny wy-powiadamy Rzeszy Niemieckiej wojnę! — Zaczynam tak, jak mia-łem zacząć — dracznie: taki dal-szy ciąg zabawy w państwo, że to wszystkie przyzwoite państwa, a więc i nasze... Jednak w miarę draczego mówienia i podnoszenia głosu zaczynam czuć się napraw-dę rzecznikiem jakiejś suweren-nej organizacji, która teraz oto moimi ustami daje świadomy wy-raz pełnemu rozumieniu ideału, dla której została powołana do ży-cia, i deklaruje tu, w tym skrom-nym pokoiku, z wybiem niezwy-czajnej godziny. — Będziemy wojnę toczyć bez pardonu, wszyst-kiemi naszymi siłami, siłą naszej pracowitości, siłą naszych głosów, książką i piórem, pieśnią i muzy-ką naszego narodu, albowiem, jak rzekł Norwidowski arcyłirnik E-nergumenowi: Nie mieć i tarcz bronią narodu, lecz... Lzy cisną mi się do oczu, głos coraz trudniej przedziera się przez krtani, muszę przerwać na chwilę, żeby zapano-wać nad zbyt silnym wzrusze-niem.

— Aleś się zegrał, brachu, z tymczasowych! Wiesz, napisz to. Mam kumpla szkopa. On niśfer-szteren po naszymu, to powiem, żeby podrzucił w bierstbie u Pfeifra. Jak przeczytają: Aj, Gott im Himmel, powiedzą, Afajaj!

— Głupota jedna, ani mi się waży! — ruga go Elżbieta. Nie-szczście byś ściągnął. — A do mnie: — Idź, wody się napij, albo wyjdź na werandę...

Może przyszło drugie splecanie myśli, albo i trzecie? Nie siedzi-my już przy stole. Inka z Kocia-kiem stoją obok patefonu. Chyba składają sobie życzenia. Calują się. Właściwie Kociak caluje, wbrew naszym postanowieniom, że nie będzie w Bazeliacie żad-nych miłości. Jesteśmy wszyscy tylko koleżankami i kolegami. In-ka spojrzęła na Kociaka trochę zaskoczona, ale nie broni się. Kaś-ka, Marcin, Staś i Heńka siedzą w kuchni na kanapie. Ciasno. Śpiewają:

I szła karawana

Przez noc i dnie...

— Węgłupy i krew to nasz kog-el-mogeli! Krew i czapa, rozu-miesz... — gada bez związku Ko-ciak do Elżbiety. Ciotka Inkę od-wołała do sprzątania ze stołu.

— Ten, co miał wielkie brzu-cho i tegi spust, powiedziałaby: Dziwne materij pomieszanie, o milites Sarmatiae! — mówi ochry-ple Szczepok. A może mi się zda-ję, że to mówię.

— To jest tylko ta... metafora. I ona jest słuszną, bo choćby wy-klady — Elżbieta tłumaczy coś Zuli.

Przyszedł znowu na myśl kon-cert u Głorki i jej słowa — przed czy po koncercie — że chciałaby, żeby poważna młodzież po matu-rze...

Grunt to rodzinka, grunt to

rodzinka!

Bo kto rodzinę dobrą ma...

wykrzykuje patefon.

— Zatrzymaj pudło! — wołam do Sylana. — Ogłaszam swoją ab-dykację z Bazeliatu — wołam, gdy zatrzymali pudło, że aż chy-ba na ulicy słychać.

— On ma czasem takie tam swoje humorki, ale dowcipny bar-dzo. Mówiłam ci — tak mnie tłumaczy Kaśka przed tą forsiastą holotą.

— Ale wypowiedzenia wojny nie cofam, nie cofam! — coś krzyczy we mnie. — Bo to jest nasza rzecz, irrozumiecie!?! Tylko, że cum spiritu, sed nec cum spi-ritu! Rozumiecie?

Wiedziałem, że nie rozumięją i mają mnie w tej chwili za ta-kiego, co tylko plecie, więc im to chciałem wyłożyć jaśniej...

Wtedy chyba przyszła na mnie ta trzecia fala.

Fragment powieści „Złazd koleżeń-ski”, która ukazuje się nakładem Wy-dawnictwa Łódzkiego.

TADEUSZ GIGIER

Do syna Piotra

Włec czego oczekuję od ciebie? Byś ostrym spadkiem ręki zgrubiałe poprzecinał zrosty, byś był przeto chirurgiem, który niewidoczne operuje, bez lęku wchodzi w jamy mroczne. A także byś twa ręka, co błędił bezwiednie nad twą głową, ten węzeł zdjęła ze mnie pewnie, w którym jak ryba w sieci od lat się szamoce. O takie poczynania proszę cię pomocne, gdy sam nie wiem, co począć. Ma nadzieja taka, Tylko czy nie za dużo chcę od niemowlaka?

24. I. 71

MARIAN KUBICKI

Zaśpiew

Chałupiny na uboczu
pochylone ku młacie
jakoś tak

byle stały.

Tak się żyje
byle żyć.

A potok
niecierpliw, pogniewany,
rwie się
do przodu
w świat!

A chałupiny
jakoś tak
wrastają w ziemię.

JERZY WILMAŃSKI



Przywiązanie

jest drugą naturą

Przywiązanie
wstążką z warkocza
stulą

Przywiązanie
do wiadomych spraw
i niewiadomych nocy
do
siebie
do
grobowej deski

Przywiązanie
jest drugą naturą
Sznurem

„CHŁOPAKI JUŻ LATAŁY Z SIKAWKAMI SPRAWIAJĄC SOBIE ŚMIGUS, ALBO, PRZYCZAJONE ZA DRZEWAMI NAD STAWEM, LAŁY NIE TYLKO PRZECHODZĄCYCH, ALE KAŻDEGO, KTO INO NA PRÓG WYJRZAŁ, ZE JUŻ NAWET ŚCIANY BYŁY POMOCZONE I KAŁUZE SIKAWIŁY SIĘ POD DOMAMI”.

RYSZARD BINKOWSKI

W poniedziałek

wielkie
lanie



Tak pisał Władysław Reymont — zdobywca Nobla, i coś z tego zostało. Ale ile i gdzie? Siedząc wciąż na pograniczu wsi i przemysłowego miasta, w samym środku styku starego z nowym, jestem otoczony konglomeratem zwyczajów i obyczajów, wynikłym z migracji ludności okolicznych wsi, a nawet województw. A że Łódź jest miastem zamkniętym, przeto osiadli na jej przedpolach ludzie tworzą tu niesioną z miejsca urodzenia legendę. W ich śmigusie-dyngusie jest coś z obyczaju miasta, jego rogatki, dalekiej, głębokiej wsi.

Jest tydzień rychtowania, niesionej na pokrop bazi palmowej. W nim bielenie ścian, sypanie podwórek, ścieżek żółtym jak ośrodek dyni piaskiem, skrobanie gotowanych w cebulowym wywarze jaj. I przetacza się nad wsiami jałowcowy, olchowy dym, a w nim zapach wędzonych szynki i kielbas. A po huku kalichorku, petard, pękających w dołkowej procesji księzowskiego baldachu, nastal czas świętowania. Tankowanie, wspominki miastowych o dzieciństwie na łąkach, pod łbiaszami wierzbami, degustacja świńskiego

kowe jaja ze święconki. Przemykają wśród opiótków z naparstkiem perfumy, którą delikatnie się kropia, by nowego gangu, sukienki nie zniszczyć. Ale wszystko do czasu... Jakoż ów niewinny perfumowy pokropek sprzyja ostremu dawanu na kota. Nie ma dawnych datków, jest półbas, karafka, które ranną porą szybko wyzwalają ochotę do uczczenia, wyciągnięcia z niepamięci dawnej tradycji. Zaczynają knoty z podstawówki. Ganiają z gumowymi, plastikowymi gruszkami z przywaciarskiej lady i państwowych kiosków. Ale z takiej gruszki liche idzie sikanie. To biorą się do butelek. A widzą to starsi, którym ranne perfumowanie zrózowiło twarz, rozjaśniło głowy. I teraz się zaczyna! Okazuje się, że jeszcze coś żyje z tej dziwnej tradycji. A już byliśmy nastawieni sceptycznie. Rozmowna perfuma to wielka potęga! Pod jej wpływem odezwie się przyniesiona spod Widawy wesola piosenka:

Chodźmy tu po dyngusie,
opowiemy o Jezusie.
O Jezusie, o Maryi
I skundżeśwa się tu wozini!

A po takiej śpiewce w
każdym domu gościnnym za-



truposza, sprawionego ręką rzeźniczego, sławnego w parafii fachmana. Dzień radostny, a leniwy, ospały. Pod pierwszym dotknięciem słońca (dawniej, pani, lata cieplejsze), parzyła wywczasowana zimowo ziemia, nad którą wysokie wniebowstąpienie skowronce. Pełne brzuchy stateczność, jeszcze szmerek toczy głowy. Ale wszystko to jakby pozorne, zakamuflowane, gdyż pod wieczór szkuje się wieś na wstąpienie w lany poniedziałek. Wyciąga się z kątów, ze strychów rowerowe pompki, stare, rzadko używane drewniane szpryce na tłoczek, pasowne, łatwo wchodzące w szparę hak, wiadra, butelczyny, inne rekwiizyty, które by choć trochę przypomniły przygasający obyczaj.

Przychodzi ten dzień. W spoielalym świtanu już żywy, pełen odwiedzin. Dzień, choć lanie będzie, szprycowanie ostre, bez żadnej obrazy. Dzień kończący wszelkie waśnie, gniewy. Bo Chrystus zmartwychwstał. A że, jak się rzekło, obyczaj przygasa, przeto nie ma kurka we wstążkach, na drewnianych kołach. I nie ma tej śpiewki o kureczku bosko chodzącym, dla którego trzeba się złożyć po groszu na ozdobne butki. I nie pieją chłopaki, nie proszą o dat-

dzwoń szkło, zabułgoce w gardzieliach.

I idzie wieś do kościoła. A rowy przydrożne pełne wody po roztopach. Nie szczędzi się wówczas święteznego ciucha. Wprost, rekami z rowu, młodzież ochlap skutecznie. Każdy ma swój honor! Więc wieś na wieś, jak to podczas łomotania w remizie, idzie teraz z wodą.

— Ino teraz już nie tak — mówi babcia Agnieszka, która przysła pod miasto z Ziemi Piotrkowskiej. — Kiedyś jeszcze w tydzień po świętach się lali. Wiadrami pod studnią! Z kościoła wyjętoby było nie sposób. Po skończonej mszy ksiądz na powrót wskoczył na ambonę i grzmiał pieściami, bo przy wyjęciu kotłowanina, pisk, krzyki. Z chóru lali wiadrami, no! Raz to tak mnie zlał, że nie byłam do dziewczuchy podobna. W błocie, piasku leżałam. A znów innym razem chłopcy pogonili sąsiadkę. Wpadła do nas nieboga. Zawaryśmy drzwi na rygiel i na strych. A chłopcy zaglądają pod strzechę. To my lu! wiadrami na lby. Ino przy tym wszystkim zlamala się deska i wpadłam bez sufitu na polepe. Warsztat ojcu rozwalili, bo akurat robił na ten czas płótno. Chciał mnie sprać, ale mu jakoś prze-

szło. A na drugi dzień sam, chociaż sadił brzozy, uciekł od roboty i pognął nad staw. Ten staw był na środku wsi i tam, ciągnąc się za kudły, orzydła, cała wieś się plawiła pospołu. Kawalery to znowu wzięli na topole i przywoływali dziewczuchy, tak niby na randkę. Cukierkami, słodkim słówkiem kusili. A potem zjeżdżali po pniu i łapali panny, i ciągnęli do stawu, gdzie je mocno nurzali głowami. Wtedy to każdy ubierał się w najgorsze lachy, ale i tak strach było z domu wyjść. No i była jedność. Jak się lało sąsiadów z drugiego końca wsi, to dzieciaki jak do pożaru donosiły wodę. A jak wody zabrakło, to gnojówką się lali! I co teraz? Jakies gumowe śpryczki, perfumki...

No, nie jest tak źle. Bo popatrzmy na dzisiejszą wieś. Południe, wracają już z sumy. Ktoś tam kogoś chlapanął. Tworzą się dwie grupki. Idzie atak za atakiem. Aż doszli do rzeczki. Zaczęło się popychanie, przeciąganie, a fontanny wody strzelają w korony! U sołtysa wrzask. Bo sołtys wcześniej zaczął obiad. W tym czasie chłopaki uczyli mu na haku nad drzwiami pełne wiadro wody. No i sołtys otworzył drzwi...

Po obiedzie rozpoczęły się sąsiedzkie podchody. Z pompkami i starymi, drewnianymi szprycami na tłoczek. Ostre, partyzanckie strzelanie. Zza pnia, zza węg-



gla, przez szpary w ścianach werand.

Potem wszystko jakoś przycichło. W remizie zabumbał bęben i zaśpiewał klarnet. Gromadzili się goście. Nikt nikogo nie lał. No,

bo szkoda sztywnego stroju. Ale były opowieści z okolicznych wsi. Kto kogo i jak oblał. Biadoliły dziewczyny, które zostały przydybane na śpiku. Dobrze, że w koszulach zlanio je pod studnią, bo inaczej trudno byłoby się wybrać na zabawę. Pierzyn, dobrze przemoczonych, suszyły się na dragu. I opowiadał jeszcze, jak to komuś udał się skok przez okno do mieszkania nauczycielki. Agronom nie przyszedł z narzeczoną na ubaw. Wstydził się, bo zasnął. A ta narzeczoną też mocno zasnęła. Jak się lało sąsiadów z drugiego końca wsi, to dzieciaki jak do pożaru donosiły wodę. A jak wody zabrakło, to gnojówką się lali! I co teraz? Jakies gumowe śpryczki, perfumki...

Pewnie by się już zakończył lany poniedziałek, gdyby pod remizę nie zajęła beczka z weselnymi gośćmi z sąsiedniej wsi. Starszy drużba stanął na tej beczce i czerpakiem od gnojówki zaczął chlustać wodę na sale. To ta sala zaraz opustoszała i strażacy strasznie się wnerwił, że nie będą mieć gości. Zostawili jednego przy bilecie, a reszta wytoczyła czerwony beczkowiec, puściła syrenę, której korbkę kręcił sam sołtys. Pojechali szukać pomsty w weselnej wsi. Tamtejsi strażacy stawili meźnie czoła najazdowi. Ech, polatała się woda! Zwyciężyli najeźdźcy, którzy mieli dwóch zupełnie trzeźwych przy pompie. Niemal wpływ miała również woda, czerpana z grząskiego bajorka, pełna fafólów, które pozalepiały oczy strażakom z weselnej wsi. Ostatecznie zawarto rozejm nad wiadrem mocnej stodołowy. Zabawa potoczyła się dalej. Bez bójki i szumu. Co prawda, przerwały ją trzy rzeczne dyngusy, ale były to niewinne figle młodzieńców, którzy urwali barierkę przy kładce na rzeczce, a potem przytknęli ją lekko na dawnym miejscu. Wychodzące na ucieczne igrze pary opierały się i leciały w miłosnym uścisku prosto do rzeczki. I na tym skończył się lany poniedziałek, zwany także dniem pojednania. A nazajutrz od nowa zaczął sąsiad sąsiadowi wdępywać w życiorys, Zwyczajnie... Prawie tak, jak za Reymontowskich czasów...

„Coś ty Atenom zrobił...”

Dalszy ciąg ze str. 6

rzecz nie do wiary w sprawie karnej — stwarza dokument z dnia 6 października 1934 r. Dokument z punktu widzenia procesu karnego naiwny, w którym

dzieci p Lempickiej stwierdzają, że wiadomo im jest co miała na myśli ich matka, pisząc wspomniany list prywatny do p. Przesmyckiego”.

Mimo tej zręcznej, często wręcz demagogicznej obrony, sędzia Sta-

nisław Rybiński ogłosił wyrok skazujący Piniego na grzywnę w wysokości 1000 zł, Plebana zaś na grzywnę w wysokości 500 zł, zasądzały prócz tego na rzecz oskarżycieli 3000 zł jako zadośćuczynienie za naruszenie ich praw. Wyrok nie przewidywał jednak konfiskaty dzieł Norwida pod redakcją Piniego. 29 listopada 1935 roku odbyła się kolejna rozprawa, tym razem przed sądem cywilnym. Sąd pod przewodnictwem Tadeusza Szczepańskiego powołał, w którym Miriam domagał się ponownie konfiskaty okaleczonych pism Norwida, i tym razem oddalił. W związku z tym

orzeczeniem „Wiadomości Literackie” sympatyzujące z Pinim entuzjastycznie napisały, że „Dzieła Norwida są własnością narodu”. Upatrywały w wyroku odebranie Miriamowi monopolu na ogłaszanie Norwida. Dziś nie ma już żadnych przeszkód natury prawnej w udostępnieniu dzieł poety. A jednak, gdy się obserwuje ślimacze tempo przygotowywania do druku „Pism wszystkich” Norwida, mimo woli przypomina się najcenniejszy fragment przemówienia mecenasa Breitera: „Pan Przesmycki jako wydawca Norwida ma niezwykle zasługi, a jako odkrywca Norwida

dobrze zasłużył się literaturze i krajowi. Można tylko mieć wątpliwość co do tego, czy nie zasługiwał się zbyt długo, czy nie opóźnił wskutek tego kontaktu i zbliżenia Norwida do narodu”. Nie wiem czemu chciałbym, aby słowa te przeczytał Juliusz W. Gomulicki, najwybitniejszy norwidolog naszych czasów. Związek Literatów Polskich i Ministerstwo Kultury i Sztuki chciałbym zaś przy okazji zapytać, czy uczyniono rzeczywiście wszystko, aby udostępnić nam pełnego Norwida?

KONRAD FREJDLICH



W środku wsi rozwalone domostwo. Jak po huraganie. Mieszkańcy ruiny przeprowadzili się do szopy z kurami. Z kurnika wystaje rura, z rury wydobywa się dym — znak życia. Kurnik wiatrem podszyty, dziurawy, chłodny w to mroczne, zimowe popołudnie. W dodatku pada deszcz ze śniegiem, ślota. Wchodzę do środka, na piecu kipi sagan z wodą, w kącie wyrko zamiast łóżka. W sumie obraz nędzy i rozpaczy. Niebawem nadchodzi kobieta z wiadrzem, właścicielka tej rudery.

— Pan do kogo? Męża nie ma w domu.

Brzmi ten „dom” jak ironia. Okazuje się, że gospodarz jest w Łusznynie na rekolekcjach. Gospodyni posyła po niego chłopaka na motorze. Ja w tym czasie idę do sołtysa, osoby najbardziej urzędowej we wsi. Sołtys nie jest zaskoczony wizytą, przywykł.

— Panie, kto tu już nie był i tego nie oglądał. Byli z Warszawy, z Łodzi, z powiatu. Niedawno sędzia z Ministerstwa Sprawiedliwości pieszo z Żychlina przywędrował, a była akurat zadymka, chłop o mało nie zmarł w szczyrim polu. Wyjechał zły i zapowiedział, żeby mu się Adamkowski na oczy nie pokazywał w Ministerstwie.

Nie ma w sołtysie współczucia ani litości dla gospodarza, który mieszka w starej szopie, wspólnie z kurami, gdyż sołtys wie to, czego my nie wiemy, rozumie niezrozumiałe.

— Razem po wojnie zaczynaliśmy z niczego — kontynuuje. — Ja zamieszkałem w czworakach, a te-

KAROL BADZIAK

Samounicestwienie

raz mam nowy, przyzwoity dom. Adamkowski zamieszkał w pałacu podzielnym, a skończył w szopie.

Ludzi się sporo zebrało wokół rudery. Stoją w milczeniu, czekają przyglądając się, jest rozrywka. Znowu ktoś do Adamkowskiego przyjechał.

Wreszcie zjawia się główny bohater. Szczupły, średniego wzrostu, wiek gdzieś około pięćdziesiątki, nieufny, nieskory do szczerej rozmowy, zamknięty w sobie. Zanim tu przyjechałem, poznałem całą sprawę od strony urzędowej. Z akt sądowych, z notatek milicyjnych, z listów. Wszystko sprowadza się do tego, że we wsi Kaczkowizna zamieszkiwał dom stary, prawie 200-letni, zdewastowany, więc postarano się o lokal zastępczy w sąsiedniej wsi Chocholów i zaproponowano mu, aby się tam wyprowadził. Czytałem nawet pismo, które otrzymał od prezesa Sądu Powiatowego w Kutnie. Jest pełne urzędowej atencji:

„Uprzejmie zawiadamiam, iż w lokalu zastępczym w Chocholowie przy-

dzielonym Obywatelowi, położona została w pokoju podłoga z białych, nowych desek, wstawiony został do pokoju nowy piec ogrzewczy, żelaznoszamotoowy oraz łóżko zostało pomalowane. Klucze od tego mieszkania pozostaje u sołtysa wsi Kaczkowizna, do dyspozycji Obywatela”.

A Adamkowski na to jak kapryśny Dyzio:

„Oświadczam, że mieszkanie zastępcze, przydzielone mi przez PPRN w Kutnie nie odpowiada żadnym warunkom, bo jest zawilgocone i są rysy na ścianach. Nawet jeśli będzie pomalowane, położona podłoga i wstawiony piec, to i tak tam się nie wprowadzę, bo ten remont nie załatwia sprawy. Ponadto dom ten jest zbyt daleko położony od mojego pola (6 km). Żądam, aby Prezydium dało mi inne pomieszczenie, nawet w Żychlinie lub w Kutnie”.

Tu się nie prosi, tu się żąda. Czyżby Adamkowski był tak wielce zasłużony? Wprost przeciwnie. Ten właściciel 7-hektarowego gospodarstwa od kilkunastu lat nie płaci podatków, winien jest państwu z tego powodu 116.000 zł, nie wywiązuje się z dostaw obowiązkowych. Grozi mu więc licytacja gospodarstwa. Ba, jest karany, otrzymał ponad rok więzienia w zawieszeniu za obrazę władzy. Stało się to w ubiegłym roku na jesieni podczas eksmisji. Nie chciał się bo-

wałem ją uspokoić, zaczęła się z nami szarpać, w czasie czego mnie lekko skaleczyła w palec trzymanym w ręku nożem. Następnie zaczęła ubliżać nam od... Wtedy zaczął nam także w ten sposób ubliżać jej mąż oraz córka. Gdy robotnicy ponownie na polecenie przewodniczącego zaczęli wynosić meble, doskoczyli do nich wszyscy troje, usiłując ich pobić. Wtedy ja chwyciłem za ręce Adamkowskiego, stosując chwyt milicyjny. Natomiast kpr. Kunikowski chwycił jego żonę. Adamkowska jednak wyrwała mu się i chwyciła w ręce garnkę metalowy. Garnkiem tym zaczęła bić kpr. Kunikowskiego. Następnie doskoczyła do przewodniczącego Włodarczyka, krzycząc na niego wy... z domu, bijąc go przy tym wspomnianym garnkiem po rękach. Podbiegła jej także na pomoc córka. Ja, widząc taki stan rzeczy puściłem Adamkowskiego, aby udzielić pomocy kpr. Kunikowskiemu. Adamkowski wybiegł wtedy z mieszkania na korytarz i po chwili wpadł, trzymając w rękach podniesioną do góry siekierę i krzycząc: pozabijam... a potem zabił i siebie”.

Jak widzimy Adamkowski nie poddał się łatwo, nie pozwolił się wyzwać ze zrujnowanego domu. Znalazł schronienie w kurniku. Kłuje tym kurnikiem ludzkie oczy, kreuje się na męczennika, gdyż wie, że męczeństwo ma w naszym pobożnym ludzie wysoką lokatę. Troje dzieci porożylał po krewnych, zaś inwentarz żywy do pierwszych mrozów przebywał na podwórku, pod gołym niebem, rycząc z głodu i chłodu. Wreszcie sąsiedzi się zlitowali nad bydłkami i zabrali na przezimowanie. Troska Adamkowskiego sprowadziła się do tego, że napisał skargę do Ligi Ochrony Przyrody.

Nie udało się do zastępczego lokalu w Chocholowie przewieźć upartej rodziny. Przewieziono tylko sprzęt gospodarski: garnki, pierzyny oraz kilka worków zboża. Pojechałem tam razem z Adamkowskim. Budynek rzeczywiście zupełnie przyzwoity i nadaje się do zamieszkania. Worki ze zbożem, niestety, podziurawione przez myszy, cały dobytek podniszczony. Właściciel popatrzył i zrezygnowany rzekł ze złością: A niech tam!

Zawzięty chłop z niego. Przekonałem się naocznie, że chłopski upór nie jest wymysłem filistrów. Złość się w człowieku szybko wypala, lecz upór nie wypala się wcale. Z biegiem czasu jeszcze twardnieje, kamienieje. Adamkowski jest głęboko przekonany, że mógł jeszcze mieszkać w starym budynku i tylko szwagier tak mu się przysłużył, że został z tego domu usunięty. Oj, nie lubi on swego szwagra, nie lubi. Zresztą wszystkich wokół uważa za wrogów, wszyscy się na niego zawzięli, i prezes Sądu Powiatowego, i komornik, i architekt. Na prezesa Sądu Powiatowego wysłał skargę do prezesa Sądu Wojewódzkiego:

„W rozmowie z Prezesem Sądu na działalność Komornika wynikało, że nie Komornik jest zależny od Sądu, lecz Prezes Sądu od Komornika, jak twierdził, że na chłama, a będzie robił jak mu się podoba i tak też robił. W takim stanie sprawy zwracam się

do Prezesa Sądu Wojewódzkiego o zajęcie się moją skargą i pociągnięcie do odpowiedzialności winnych dokonujących eksmisji, a Prezesa Sądu Powiatowego za takie przestępstwa usunąć z prezesstwa, gdyż pod takim nadzorem podwładni wydają wyroki w imieniu kluki, a nie tak jak mówi Konstytucja, że wyroki są wydawane w imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”.

Niebadane są tajniki duszy chłopskiej. Czy naprawdę? Z jednej strony mamy do czynienia z uporem, zawziętością i arogancją, z drugiej — z uprzejmością, delikatnością i prawie uległością. Gdzieś się podziła nasza sławetna biurokracja? Dodam jeszcze, że budynek, z którego Adamkowski nie pozwolił się wykwaterować, wcale do niego nie należy. Jest to własność szwagra. Adamkowski nie wzbudza sympatii. Zrujnował gospodarstwo, nie płaci podatków, skazał na tułaczkę własne dzieci i ma jeszcze czelność domagać się pracy i mieszkania w mieście.

— Co pan zrobi, jak zlicytują ziemię? — spytałem Adamkowskiego.

— Niech sobie zlicytują i dadzą mi tylko pracę i mieszkanie.

— Przecież nie mają żadnego obowiązków i nie dadzą.

— Mają.

— Nie mają.

— Jak nie mają, to pozostanie mi tylko stryżenie. Zabię siebie, żonę, i będzie koniec.

Udaję się do wioski, gdyż czegoś mi tu było brak. Ludzie milczeli.

— Czy dawniej był dobrym gospodarzem? — pytałem.

— A, był.

— Co się więc stało?

— ?!

— Sołtys twierdził, że proponowano Adamkowskemu ulgi w podatkach, nawet chcieli umorzyć wszelkie zaległości. Czy to prawda?

— Może nie, może tak!

— Proponowano mu również bezpłatną dokumentację na budowę nowego domu.

— Tak.

Otóż rzecz polega na tym, że aby otrzymać pożyczkę i ulgi, trzeba napisać podanie do GRN, tego wymaga zwykła formalność. Adamkowski nie chciał podania napisać. Jego postępowanie jest rzeczywiście irracjonalne, cały czas działa przeciwko sobie; mieszka w kurniku, gdy tymczasem czeka na zupełnie przyzwoity budynek. Skąd ten upór się bierze?

Dopiero w Łodzi trafiłem na pewien dokument, który sprawę nieco wyjaśnia. Otóż w 1957 roku władze rolne w Kutnie postanowiły sprzedać dom, w którym mieszkał właśnie Władysław Adamkowski. Wpłynęło kilkanaście podań, lecz prawo pierwszeństwa miał, oczywiście, aktualny lokator. Stało się inaczej, dom nabył Józef M., szwagier Adamkowskiego. Chłop poczuł się skrzywdzony i choć minęło już tyle lat, nie potrafi nad swą krzywdą przejść do porządku dziennego. Z nieuzasadnioną prawą przez władze wyciągnął wniosek dla siebie. Jest w tym konsekwentny aż do absurdu.

Zawszgd o wszystkim

Koncerny contra „Spiegel”

„NOUVEL OBSERVATEUR” — PARYŻ

Niejedno już wybaczone zachodniomemieckiemu tygodnikowi „Spiegel”. Nawet publikowanie od czasu do czasu demaskatorskich informacji. Ale tym razem najbardziej masowy tygodnik w NRF posunął się widać zbyt daleko. W jednym ze swych ostatnich numerów opublikował on autentyczne liczby wzrostu dochodów największych zachodniomemieckich kompanii oraz afery finansowe — „wyrafinowane oszustwa”, jak to określił „Spiegel” — do jakich uciekają się przedsiębiorcy, aby nie płacić podatków dochodowych.

Na kontrę nie czekano zbyt długo. Po upływie kilku tygodni od zamieszczenia tej publikacji, powstało coś

w rodzaju koalicji skierowanej przeciwko „Spiegelowi”, do której przystąpiły duże monopole, a wśród nich gigantyczny koncern „Siemens”. Pozorny cel — utworzenie nowego tygodnika. Istotną przyczyną — próba zrujnowania zbyt gadatliwego „Spiegla”.

Pierwszą wpłatę „na rozruch” nowego tygodnika w wysokości 100 milionów marek otrzymał już kandydat na stanowisko redaktora naczelnego tego „Antyspiegla” — Claus Jacoby. (Czasopismo nie ma jeszcze tytułu, ale wydanie pierwszego numeru planuje się już w październiku br.). Jacoby jest dziennikarzem i przez długi czas był redaktorem naczelnym „Spiegla”. Dwa lata te-

mu, wydawca pisma, Rudolf Augstein, zwolnił go z pracy, gdyż uznał, że Jacoby stał się za bardzo „swoim” człowiekiem w kołach wpływowych.

Powstanie nowego pisma zagraża egzystencji „Spiegla”, już choćby dlatego, że największe firmy, reklamujące się dotąd na jego łamach, mogą zacząć go bojkotować.

zamieszczając ogłoszenia w konkurencyjnym wydawnictwie Jacoby’ego. Ale Jacoby potrzebuje wytrwałych dziennikarzy, których w Republice Federalnej nie ma znów tak wielu. Dlatego to chyba „Spiegel” — jakby przypadkiem — przedłużył niedawno kontrakty ze swymi najlepszymi współpracownikami.

Nie chcą walczyć w Indochinach

„FRANKFURTER ALLGEMEINE ZEITUNG” — FRANKFURT

„26 lutego br. na lotnisku kanadyjskiego miasta Vancouver wylądował samolot transportowy USA „Boeing-737”, na którego pokładzie znajdowali się poborowi armii amerykańskiej. Ładowanie nastąpiło nie z powodu defektu maszyny, lecz na żądanie jednego z pasażerów, który — jeśli można tak powiedzieć — poparł je groźbą użycia broni. Gdy „Boeing” uniósł się w powietrze w jego kabinie pasażerskiej było już o jednego żołnierza mniej.

W różnych krajach świata przebywa przeszło sto tysięcy dezertów z armii amerykańskiej. Niechęć młodych żołnierzy do walki w dżunglach Indochin jest całkiem zrozumiała: mają tam o wiele za dużo szans na stracenie życia. Nawiasem mówiąc, chociaż młode mobilizowane roczniki stanowią tylko trzecią część amerykańskiego korpusu ekspedycyjnego w Indochinach, to jednak ginie ich dwukrotnie więcej, niż żołnierzy, walczą-

cych tu już od dłuższego czasu.

Jednakże większość żołnierzy — zbiegów jest przeciwna tej wojnie ze względów zasadniczych. Po prostu nie widzą sensu w wystawianiu się na kule w imię interesów, które uważają za niesprawiedliwe. Dlatego też i swojej ucieczki z armii nie uważają za przestępstwo. Wiedzą jednak, że w ojczyźnie grozi im więzienie, więc wolą doczekać końca tej wojny za granicą, choćby nawet w niełatwych warunkach życiowych.

Większość dezertów osiedla się, w sąsiadującej ze Stanami, Kanadzie. Każdego tygodnia przedstawia się tam średnio pięćdziesięciu dezertów. Głównym problemem jest szybkie znalezienie pracy. Z reguły ta zmobilizowana do wojska młodzież nie posiada żadnych kwalifikacji zawodowych.

Waszyngton, mocno zaniepokojony masową ucieczką żołnierzy z armii, która podrywa prestiż USA za granicą, niejednokrotnie już usiłował wyrzucić presję na władze kanadyjskie, aby nie wpuszczały na terytorium

swego kraju amerykańskich dezertów. Jednakże pod naciskiem opinii publicznej władze Kanady były zmuszone złożyć oświadczenie, iż dezertery amerykańscy, zabiegający o prawo pobytu w Kanadzie, będą nadal uważani za zwykłych imigrantów.

Działalnością licznych organizacji, niosących pomoc dezertom amerykańskim kierują ośrodki, znajdujące się na terytorium Szwecji, chociaż w tym kraju znalazło azyl zaledwie ok. czterystu młodych żołnierzy z USA. Mniej więcej dwustu Amerykanów, którzy nielegalnie opuścili szeregi armii, zamieszkało we Francji. Jeden zbiegły żołnierz (Murzyn, protestujący przeciwko rasistowskiemu porządkowi w armii USA) mieszka w Niemczech, w Republice Federalnej.

Głównym motywem tej dezercji jest negatywny stosunek do wojny w Indochinach. W związku z tym wielu żołnierzy porzuca szeregi armii w przeświadczeniu, że jest to jedna z aktywnych form walki przeciwko ustrojowi społeczno-politycznemu w USA.

„MIĘSOPUST” „MNISZKI” I INNE DELICJE

Morał jest jak plama na odzieży — wylazi w odpowiednim oświetleniu. Obracając obiekt można ukryć lub wyeksponować tę plamę. Myśl przydatną dobru wszelkiej, wszelakiemu rozsądkowi i enocie.

Niekiedy zaabsorbowanie zbiorowości problemem społecznym do tego stopnia pobudza emocje i wyobraźnię, że przenosi je na odbiór sztuki. Wówczas morał gra światem odbitym. Morał utworu realizuje się na scenie za pośrednictwem reżysera, ale nie tylko od inscenizacji i reżyserii zależy stopień wyeksponowania lub zataczenia morału. Emocjonalno-asocjacyjny stosunek widzów do problemu „wywabia” niekiedy te warstwy przedstawienia, których ani autor, ani reżyser nie zamierzali uwypuklić.

Wystawienie „Mniszek” (Teatr Powszechny), „Króla Mięsopestu” (Teatr Nowy), a także „Dobroczyńcy” (Teatr Powszechny) nałożyło na te sztuki nowe światło doświadczeni i refleksji, powodując ukierunkowane i wyostrożone ich odczytanie.

Zarówno widzowie jak i realizatorzy, o czym zdolałem się przekonać, dopatrują się w tych sztukach aktualnego morału.

Oto „Mniszki”: trzech, przebranych za zakonnice bandziorów knuje rabunek, morderstwo i ucieczkę. Skryci pod ziemią, w piwnicy czy pieczarze, oczekują przybycia bogatej senory, która pragnie oddać „bogobojnym mniszkom” swoje klejnoty, a następnie uciec wraz z nimi jak najdalej od szaleńczego buntu Murzynów. Ten, niezbyt budujący plan „mniszek” realizują w sposób brutalny i makabryczny, przy okazji załatwiają i między sobą porachunki osobiste. Nie udaje się im jednak uciec; wszystkie drogi są zamknięte. Zagrzebywanie i odgrzebywanie bogatej arystokratki wydaje się w tej zewnętrznej warstwie utworu dość prymitywnym szukaniem przez prze-

rażonych opryszków alibi w obliczu coraz wyraźniejszych odgłosów rewolucji.

Oto fabuła, która u niektórych widzów wywołała następującą refleksję: do czego to prowadzi żądza pieniądza! — albo: — jedni walczą, a drudzy mordują i zbijają majątek!

Zewnętrzna warstwa spektaklu tak w skrócie po odczytaniu zrelacjonowana przez część widzów świadczyłaby o jej uczuleniu na morał etyczno-społeczny.

Blisko takiego odczytania są ci z widzów, którzy twierdzą, że pokazano na scenie najgorsze instynkty, odradzające sytuację — ci odbiorcy, poprzez swoją uczuciową negację w zasadzie akceptują morał. Zło bowiem, wtedy jest najgroźniejsze, gdy wkłada się w psychikę nie budząc sprzeciwu, gdy jak balsam wlewa się w miłość własną, przybierając kształt pozornej urody i łagodności.

Ten nieco biblijny wtręt nie usprawiedliwia wszakże brutalnej bezceremonialności utworu, który jeszcze ostrzej zagrał po uproszczeniach scenicznych. Drugie i powszechniejsze odczytanie, to problem strachu przed rewolucją i ujawnienie się różnych postaw i reakcji ludzkich. Głos widza: „Rewolucja na Kubie, a ci chcieli wynieść wszystkie skarby! Szeznury, nie ich nie obchodziło poza własną korzyścią!”. Oczywiście znów relacja podana przez widza w uproszczeniu, ale sens już bliższy intencjom autora. Eduardo Manet napisał rzecz, która dzieje się nie na Kubie, ale na Haiti w okresie buntu niewolników, ponieważ, jak twierdzi, chciał napisać komedię, by uniknąć naturalizmu. Mnie natomiast wydaje się, że nie tyle chciał uniknąć naturalizmu, co pragnął uzyskać dystans czasu, w którym mógłby zarzucić metaforę. Wydaje się, że groteskowy pomysł z opryskami, którzy przებierają się za mniszki, sama idea kobieto-mężczyzny czy mężczy-

zno-kobiety jako symbolu zła, „które musi być zmienione przez rewolucję”, ten pomysł zaważył na wyborze czasu. Metafora wyrażona okrutnymi realiami zagrała ponadczasowo i tym chyba sztuka broni się przed własnym barbarzyństwem środków.

Myślę, że zarówno pochwalne głosy niektórych profesorów, jak i współczesny rezonans sztuki, każe zwrócić na nią uwagę.

Reżyser, Michał Pawlicki, poszedł na całego. Wytrzebił wszystkie „stylizacje literackie” tekstu, pozostawiając „nagą prawdę”. Zyskał w ten sposób większą przejrzystość i brutalność akcji. Tekst, sam w sobie już dość drapieżny, rozrósł się do tygrysiach rozmiarów, wprowadzając w popłoch i przerażenie co bardziej wrażliwych wielbicieli Melpomeny raczej o gołębiej naturze. Zderzenie kornetu i

kłamania, tak gruntownie przyswojony, że aż zbędny po dokonaniu zbrodni, że aż przekształcony w odruch warunkowy.

Aktorzy znakomicie utrzymali się w konwencji. Wszystkie odrzucone autorskie zgłoszenia ogłosił im teksty z pełniejszych, płynnych fraz pozostawiając ich z niezbędnym, prawie informacyjnym, brutalnym dialogiem utrzymanym w rodzaju żeńskim. Na szczęście żadna z „siostr” nie cierpi na niedostatek męskich cech, w związku z czym i dialog, gest i działanie uwierzytelniały cechy osobiste, fizyczne i psychiczne.

Matka Przełożona w interpretacji Aleksandra Fogla i Siostra Angela w interpretacji Tadeusza Sabary nie budziły wątpliwości, że mamy do czynienia z autentycznymi opryskami z tym, że pier-

Tadeusz Sabara, w roli konsekwentnego pracusia zbrodni, brutalnego i bez skrępow, pilnie czuwał nad wrodzonym „Siostrze Angeli” darem niewdawania się w żadne, złośliwe refleksje i zwątpienia w słuszność obranej drogi. Jego biologiczna bezkompromisowość poparta brutalnymi bezczuciowymi stwierdzeniami mogłaby być poczytywana za cynizm, gdyby Sabara próbował intonacją czy gestem zaznaczyć pewną rezerwę intelektualną w stosunku do działania. Nie, Sabara tego błędu nie zrobił; był sprawnym bandzior, obdarzonym prawidłowym okrucieństwem dla innych, i szczerym strachem dla siebie. Podziwu godna jest sprawność fizyczna zademonstrowana przez artystę, oraz celność gestu.

Jerzy Braszka jako głuchoniema Siostra Inez — dał również popis sprawności ruchu, gestu — co zresztą jest najważniejsze w niemówionej roli. Siostra Inez była plastyczna i przekonująca w szaleństwie i odruchach serca. Te odruchy serca czyniły ją jeszcze głupszą w oczach starszych, rutynowanych siostr.

I wreszcie Senora — Teresa Marczeńska, której nikt nie mógł podejrzewać, że nie jest kobietą. Ten wdzięk kobiecości i ta święta naiwność, jakże to zagrało anielsko i jak tragicznie. Rzecz czysta, to idea czy utracony raj ufnie dziecięcości w rękach bezwzględnych gangsterów życia, czy nawet historii? W tym chyba trzęcie odczytanie. Morał być może przez autora nie zamierzony.

Michał Pawlicki uzyskał tempo i zwieźłość, rezygnując ze „zbędnej gadaniny”. Pogłębił makabryczność i niechęć utworu; zdarzeń przecież jednak nie ponad ludzką miarę zła, jak ucza dzieje.

Nie wszyscy wytrzymują tę gorzką dawkę okrucieństwa na scenie, która może być i lekarstwem niekiedy. Kataris bez antycznej dostojności.

Scenografia Olafa Krzysztofka i Aleksandra Wielogórskiego wobec uproszczonej faktury sztuki — zbyt bogata w detale, choć trafna w nastroju.

„Król Mięsopestu” — część druga o morale deliberacji. Za tę sztukę otrzymał Teatr Nowy nagrodę „Srebrnej Łódki” od TPL, J. M. Rymkiewicz znakomicie — o czym miałem okazję pisać — przysposobił scenie polskiej „Zycie jest snem Calderona”, „Mięsopestu” jest drugą „hiszpańską”, ale już oryginalną sztuką poety-dramaturga i tłumacza, a morał jej...

„Ale o tym w następnym numerze. Do zobaczenia i przeczytania.



Bogusław Sochnacki i Zbigniew Nawrocki
Fot. A. Brustman

habitu z owłosioną męskością i soczystym słownictwem zrazu rozbawia publiczność, by później wprowadzić ją w zakłopotanie, a niektórych w popłoch a nawet w zgorzniecie. Nie trzeba w tym miejscu nikomu tłumaczyć, że dramatyzm kubański nie miał na myśli prawdziwych mniszek, tym bardziej realizatorzy nie pragnęli ich ośmieszać, czy parodiować. Figura dramatyczna rychło przekształciła się w złowrogi kod za-

wszy z nich robił wrażenie raczej zdeterminowanego sytuacja, a drugi więcej ją kreującego. Fogiel nieco ufilozofowany, z nutką humorystycznej refleksji dobrze doprowadzał swój stan „psychicznego posiadania” do coraz rozpaczelniejszych aktów chciwości i okrutnego chłostwa. Pewne niedyspozycje głosowe wytrącały go chwilami z tonacji, co z dużą wprawą likwidował w następnej kwestii.

Młodszy partner CIA

„POGLED” — SOFIA

Brzmi to jak paradoks: izraelski wywiad — jako jedyny wywiad na świecie — jest starszy od swojego państwa. Na długo przed 1948 rokiem, kiedy to oficjalnie zostało proklamowane państwo Izrael, światowe organizacje syjonistyczne już zdolały ukształtować swoją tajną służbę wywiadowczą. Uczyla się ona nader pilnie na doświadczeniach amerykańskiej Centralnej Agencji Wywiadowczej (CIA), brytyjskiej Intelligence Service i innych służbach wywiadowczych krajów kapitalistycznych.

Jeśli uważnie prześledzić karty historii jej powstania, to okazuje się, iż syjonistyczno-izraelska agentura szpiegowska wypłynęła na powierzchnię jeszcze w czasach panowania brytyjskiego w ówczesnej Palestynie. Jednakże stały aparat wywiadowczy pod nazwą „Szerut Izrael” (lub „Sza”) został utworzony w 1937 roku

przy tzw. politycznym departamencie agencji żydowskiej w Palestynie. „Sza”) spełniała także w kraju funkcję tajnej policji politycznej do walki z siłami postępu. Bardzo często współpracownicy „Sza”) pracowali również w innych zachodnich służbach wywiadowczych. Na przykład założył izraelskiego wywiadu i jego pierwszy kierownik R. Schiloah, zrobił karierę w brytyjskiej Intelligence Service. Tam też, stawał swój pierwsze kroki i dosłużył się stopnia majora brytyjskiego wywiadu obecny izraelski minister spraw zagranicznych, Abba Eban.

Jaka struktura organizacyjna ma wywiad izraelski? Jego jądrem jest tzw. centralne biuro wywiadowcze d/s bezpieczeństwa. Ono to kieruje wojskowym i naukowo-technicznym szpiegostwem, działalnością wywrotowo-sabotażową oraz pro-

pagowaniem ideologii syjonistycznej za granicą. Wywiad wojskowy — „Szerut Modlin” — formalnie podlega komitetowi koordynacyjnemu, ale faktycznie kieruje nim sztab generalny sił zbrojnych Izraela, a ściślej mówiąc — bezpośrednio minister obrony. „Szerut Modlin” prowadzi działalność wywiadowczą i sabotażową, wymierzoną w pierwszym rzędzie przeciwko krajom arabskim, zbiera informacje o ich potencjale wojskowo-ekonomicznym i stanie gotowości bojowej armii tych krajów, ustala cele i obiekty do napaści militarnych.

Duże „zasługi” w rozwoju wojskowego wywiadu Izraela położył Mosze Dajan we własnej osobie. Jego najbardziej namiętnym hobby, obok archeologii, jest szpiegostwo. Mając zaledwie dwadzieścia lat, i będąc członkiem Hagannah — organizacji typu faszystowskiego — Dajan rozpoczyna działalność wywiadowczą i dywersyjną pod okiem i specjalną opieką pracownika wywiadu brytyjskiego O.C. Winghette’a. W 1941 roku przyszył „jastrząb” spędził pewien czas w Syrii, gdzie zebrał informacje, które po-

zwolliły dowództwu wojsk brytyjskich na błyskawiczne zajęcie tego kraju.

Nieco później nawiązał Dajan współpracę z wywiadem amerykańskim. Obecnie, amerykańska Centralna Agencja Wywiadowcza asygnuje ogromne sumy na działalność izraelskiego wywiadu wojskowego. Oczywiście nie bezinteresownie; „Szerut Modlin” jest zobowiązana do zbierania i przekazywania agenturą CIA, a także innym tajnym służbom wywiadowczym USA, interesujących je informacji szpiegowskich.

Izraelski wywiad wojskowy ściśle współpracuje również z wywiadem NRF. Według danych francuskiego tygodnika „L’Express”, a gresja izraelska w 1967 roku przeciwko ZRA, Syrii i Jordanii została przygotowana na podstawie informacji pochodzących z centrali wywiadowczej NATO. Jednakże podstawowych danych do tej akcji dostarczyła CIA i wywiad zachodniemiecki.

Ścisłą współpracę pomiędzy wywiadem Izraela i NRF nawiązano na wniosek Mosze Dajana. Aby lepiej

poznać charakter tej „współnoty” warto przypomnieć sprawę Alfreda Frauenknehta, centralnej osoby w grubej aferze szpiegowskiej, ujawnionej niedawno w Szwajcarii (aktualnie toczy się proces w tej sprawie — red.).

Inżynier Frauenknecht otrzymał za swe usługi od „Szerut Modlin” 860 tys. franków szwajcarskich. Ta szkodliwość wojskowego wywiadu Izraela opłaciła się nader sówicie: kierownik oddziału technicznego szwajcarskiej firmy lotniczej „Sulzer AG”, w ciągu jedenastu miesięcy, od października 1968 roku, do września 1969 roku, przekazał wywiadowi izraelskiemu 150 tysięcy tajnych wykreśłów, planów i opracowań procesów technologicznych, dotyczących produkcji silnika odrzutowego francuskiego myśliwca bombardującego „Mirage — 3”.

Nasuwa się pytanie: w jaki sposób kurier, obywatel RF, Hans Schresker, za-

DLA MIŁOSNIKÓW
LEŚMIANA

Nie wiem jak dla kogo, dla mnie Bolesław Leśmian jest największym poetą polskim XX wieku. Jego wiersze nie tylko nie utraciły nic ze swej wartości, lecz przeciwnie: w miarę upływu czasu zyskują na znaczeniu. Tytuł poetów przepadło dla ludzkiej pamięci, a on, Leśmian, żyje wciąż, jest czytany i adorowany przez znawców i czytelników.

A jednocześnie stwierdzić trzeba, że wciąż jeszcze za mało wiemy o tym wybitnym i niewytkim poecie. Za mało wiemy o jego życiu i jego twórczości. To też w sukurs naszym pragnieniom przychodzi wydanie obecnego „Studia o Leśmianie” pod redakcją Michała Głowińskiego i Janusza Sławińskiego. Książka obejmuje czternaście rozpraw. Zaczyna ją studium Artura Sandaiera pt. „Poetę twórczych potęg natury” a kończy studium Krzysztofa Miklaszewskiego „Teoria i praktyka (wokół Leśmianowskiej wizji teatru)”. Rozprawy, poruszające wiele istotnych zagadnień związanych z twórczością Leśmiana, stanowią cenne uzupełnienie i rozszerzenie naszej wiedzy o tym potężnym zjawisku poetyckim. Oczywiście, jak to w takich przypadkach bywa, nie wszystkie te rozprawy są jednakowo cenne dla przeciętnego oświeconego czytelnika. Jasnością ujęcia, a często i wdziękiem odznacza się na przykład, to, co napisał Sandaier. Błoki i Podróż Kwałtowska. W innych pracach biorą niekiedy górę zawłoki terminologiczno-stylistyczne ze szkoda dla czytelności i jasności wykładu.

Czy jest to konieczne w pracach naukowych — mam niejaki wątpliwość.

JK.

Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1971, cena: zł. 40.—

● Zawszgd o wszystkim ●



„SREBRNA ŁÓDKA” DLA TEATRU NOWEGO

Z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru 1971, Towarzystwo Przyjaciół Łodzi ufundowało nagrodę „Srebrnej Łódki” za najwartościowszy spektakl wystawiony na łódzkiej scenie pomiędzy Międzynarodowym Dniem Teatru 1970—1971 r.

Po żywej i wyczerpującej dyskusji, jury pod przewodnictwem wiceprezesa TPE, mgr Mieczysława Woźniakowskiego, przyznało nagrodę Państwowemu Teatrowi Nowemu za spektakl sztuki Marka Jarosława Rymkiewicza „Król Mięsopest” — w reżyserii Tadeusza Minca i scenografii Henri Poulaina.

W dyskusji zwrócono uwagę na inne wyróżniające się spektakle grane w omawianym okresie na scenach łódzkich: „Czajka” A. Czechowa (w reżyserii i scenografii Jerzego Grzegorzewskiego, kostiumy Krystyny Kamler, w Teatrze im. St. Jaracza) oraz „Janosik” E. Brylla z muzyką K. Gaertner, w reżyserii Jana Skotnickiego, ze scenografią A. Killiana, w Teatrze Nowym.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

Opowieść o niedobrej matce

Zawodowe konieczności sprawiają, że muszę czytać wiele książek o różnej treści i wartości. Ale nie przypominam sobie, czy i kiedy czytałem książkę, w której postać matki (jednej z dwóch głównych bohaterek) byłaby zaprezentowana w barwach równie ponurych i odrażających jak w książce Ewy Ostrowskiej „gdzie winą jest duża”, będącej nowym tomem „sagi rodu Horotyńskich” (*). Jest to — jak pamiętamy — rodzina repatriantów z Wileńszczyzny, która po wojnie osiedliła się w mazurskiej Orne-

A powracając do portretu niedobrej matki, powiedzieć trzeba, że jest on wierny i sprawiedliwy, bo choć maluje go nieletnia dziewczynka — córka, nie jest on przecież wynikiem przelotnych i niedojrzałych emocji, lecz opiera się na wymowie jednoznacznych faktów. Pani Teresa wyszła (po raz drugi) za mąż za aferzystę i kombinatora dużego kalibru i prowadzi z nim w Łodzi życie prawdziwie luksusowe. Zaczęło się to wkrótce po wojnie, kiedy prosperował szaber i kwitły „kanty” wszelkiego rodzaju. Pani Teresa ma tylko jeden walor: urodę. Poza tym jest bezduszną, stuprocentową egoistką, snobką o ptasim mózdzku, która traktuje córkę jako zawadę. Maltretuje ją — wbrew pokazowemu gestom — psychicznie i fizycznie, a bicie uważa za najlepszy i niemal jedyny środek wychowawczy. Wszystko to tym bardziej musi dziwić

i oburzać, gdyż dziewczynka jest cicha, potulna i wrażliwa, ani śmie, ani może opierać się rozkazom despotycznej matki. To nie jest jakiś „konflikt pokoleń”, to nie jest nawet los Kopciuszka z bajki; to jest po prostu sadyistyczne okrucieństwo ze strony złej, próżnej i głupiej kobiety, to jest brak choćby odrobiny macierzyńskiego serca, bez czego żadne dziecko nie może żyć i rozwijać się normalnie. Czy można się dziwić, że to, co się dzieje, popycha w końcu Helenkę do zamachu samobójczego?

Lata mijają. Dziewczynka dorasta. Kończy się ostatecznie dolecie wita matki i ojczyma Helenki. Teraz na nią spada ciężkie brzemie obowiązków, bowiem zwyczajna bieda zajrzała tej rodzinie w oczy. Oprócz zajęć szkolnych Helenka musi sprostać również zajęciom gospodni domu, kucharki, sprzątaczk i wychowawczyni przyrodniego brata. Sytuacja jeszcze się pogarsza, gdy pewnego dnia ojczym, zabrawszy, co było jeszcze do zabrania, znika jak kamfora, a matka szaleje z rozpacz i strachu. Twardnieje wśród tych dopustów serce Helenki, ale nie zamiera to, co było w nim zawsze dobre i szlachetne.

Teraz już matka nie śmie tknąć córki, teraz nie odważa się spojrzeć jej w oczy, teraz się jej po prostu boi. I to jest odwet córki.

Po dziesięciu latach nieobecności, dorosła — może nawet jak na swój wiek — zbyt dorosła Helenka, powraca do wymarzonej Orne-ty — krainy szczęśliwego dzieciństwa. Zabiera ze sobą brata, zabiera — mimo wszystko — matkę. Nie uznaje za możliwe pozostawienie tej złamanej dziewczynki w jej własnym, tragicznemu losowi. W duszy Helenki triumfuje dobroć i zdolność przebaczenia.

• * •

Ewa Ostrowska dysponuje bardzo cennym walorem pisarskim: dzięki darowi bystrej spostrzegawczości kreuje postacie swych bohaterów z elementów sugestywnej prawdy, a nie ze zmyślności fikcji. Dlatego też te postacie nie tylko interesują, lecz często wzruszają czytelnika i zawsze pozostają na dłużej w pamięci (dziadek, babka, ciocia Pola, pani Teresa, Helenka i in.). Szkoda jednak, że ten cenny walor błędnie i maleje wskutek nadmiaru rozległości lirycznej, cechującego powieść opatrzoną mianem tytułu — częścią Norwidowskiego cytatu „gdzie winą jest duża”. Spotykamy tu bowiem co krok wielostronowe nawroty do przeszłości, wspomnienia, reminiscencje, wyznania żalu i smutku. Niejeden z tych fragmentów pisany jest nie bez polotu i ze szczerym sentymentem. Ale jest tego za dużo, stanowczo za dużo. W tej lirycznej powodzi gubi się i roztopia główny nurt powieści, która przecież jako taka jest epiką formą wypowiedzi li-

terackiej. A poza tym — nie można przecież budować domu z samych prawie tylko przybudówek, choćby najpiękniejszych. A propos opowieści o niedobrej matce, miałbym jeszcze dwa drobniejsze zastrzeżenia krytyczne. Po pierwsze — chwilejna i nie ustalona jest tu (tak jak i w „Jabłoni”) konwencja narracyjna: raz Helenka widzi świat zewnętrzny oczyma dziecka i jak dziecko na jego sprawy reaguje; innym razem znowu zachowuje się i przemawia jak osoba dorosła. Po drugie — niektóre realia fabularne muszą budzić wątpliwości. Np. czy to możliwe, by taki sprytny i obrotny kombinator, jak ojczym Helenki, „asekurował się” przed zmianą koniunktury magazynowaniem banknotów, które w każdej chwili mogły utracić swą wartość? Albo z czego właściwie żyła i utrzymywała się przez całe lata, po ucieczce ojczyma, trzyosobowa rodzina, skoro nikt z tych trzech osób nie miał i nie mógł mieć żadnych zarobków?...

Ale mniejsza o te drobiazgi, widoczne tylko dla bardzo uważnych czytelników i nie obciążające powieści brzemieniem śmiertelnego grzechu. Wydaje mi się, że godne uwagi piśmarstwo Ewy Ostrowskiej zająłoby pełniejszym i atrakcyjniejszym blaskiem, gdyby autorka zechciała samokrytycznie dokonać dwóch — może i niełatwych dla niej rzeczy. Po pierwsze — powinna powściągnąć i ograniczyć w materiale swych powieści napór żywiołu lirycznego, a po drugie — wyszłaby tym powieściom na dobre większa dbałość o kondensację i przejrzystość zarówno stylu jak i treści.

*) Wyd. „CZYTELNIK”, str. 220, cena zł 12.



Przeszłość i teraźniejszość

„Sądziłem, że bardziej prawdziwy będzie obraz tamtych lat gdy powiem, co zapamiętałem o tym, jak niszczone i jak chronione, jeśli odtwarzać będziemy atmosferę nieustępliwą walki o nasze dobra kulturalne i o podtrzymywanie nie gasnącego płomienia polskiego życia kulturalnego, jeśli zapiszemy dla historii, że wola przetrwania leżała u podstaw wszelkiej naszej działalności, jeśli przeżyjemy jako coś bardzo ważnego, że nawet wtedy, gdy po upadku Państwa w r. 1940 wydawało nam się, że wali się cały nasz świat, nigdy nie pomysłiliśmy, że walka nasza jest beznadziejna, i byliśmy pewni, że to, co uratujemy, pomoże w zachowaniu ciągłości naszego rozwoju kulturalnego, że budować będziemy po zwycięstwie od nowa, lecz na fundamentach narodowych tradycji kulturalnych. Przecież po to urządzano koncerty muzyki polskiej, a zwłaszcza zakazanego Chopina, po to urządzano wieczory recytacji, obchody

rocznie narodowych, przedstawienia teatralne w prywatnych mieszkaniach. Po to spisywaliśmy wywołane dzwoń i dlatego wydzielaliśmy Niemcom wszystko, co tylko było można, z rabowanego i dewastowanego Zamku Królewskiego. Wróg niszczył, a myśmy nieustępliwie bronili, wróg deptał, my podnosiliśmy, z czułością otrzaskali z pyłu i starannie chowali, i drugi i trzeci raz, póki tylko było można.” Słowa te, zaczerpnięte ze wstępu pióra Stanisława Lorentza do wydanej pod jego redakcją książki zbiorowej pt.: Walka o dobra kultury. Warszawa 1939—1945. (2 t., PIW, 1970) najlepiej określają sens ogromnego wysiłku, jaki sprawie ratowania dóbr kultury narodowej poświęcili nie tylko liczni profesorowie, archiwiści, bibliotekarze i pracownicy muzeów, lecz także anonimowi często ludzie, na co dzień jak najdalej od spraw kultury, nauki i sztuki, którzy wówczas dołożyli swoją cegiełkę do wspólnego trudu. Wydawnictwo zostało ujęte

w formie podobnej do dzieł wieloletnich „książek zbiorowych”, bowiem zebrano teksty najróżniejszych gatunków, mianowicie wspomnienia i relacje, dzienniki i sprawozdania, notatki i listy, i wreszcie opowieści o zbiorach i ludziach, którzy je ratowali, w większości ogłoszone tu

Krzyżanowskiego, W. Boro-wego. Redakcji udało się zebrać teksty dotyczące okupacyjnych i wojennych dzieł w wszystkich niemal warszawskich muzeów i archiwów, bibliotek i placówek naukowych, uzyskano sporą więzkę informacji o ratowaniu dóbr kultury ze

braz kłeski ani zapisać w słowach dość wzruszających ogrom bohaterstwa tysięcy tysięcy bezimiennych bohaterów”.

Ileż to postanawiamy sobie, że nie zapomnimy, winniśmy sobie uświadomić, że pamięć ludzka jest instrumentem wielce zawodnym, że czas zaciera kontury zdarzeń, deformuje ich szczegóły. J. Waldorff wytknął niedawno samemu prof. Lorentzowi istotne potknięcia w jego relacji o polskim życiu muzycznym w okupowanej stolicy, a przecież trudno pościć uczono, że nie dbał o to, by podane przezeń informacje były dokładne. Zeby pamiętać — trzeba dokumentować. I tutaj czytelnikowi tego pięknego wydawnictwa nasuwa się gorzka refleksja. Otóż nie jest dla nikogo tajemnicą — pisze o tym prof. Lorentz i inni autorzy — że zarówno podczas okupacji, jak bezpośrednio po wyzwoleniu prowadzona była systematycznie praca dokumentacyjna, rejestrująca możliwie najdokładniej dokonywane przez okupanta zniszczenia, grabieże i wywózki dóbr kultury narodowej. W jej wyniku powstała spora dokumentacja, która się

uratowała i została przekazana do Biura Rewindykacji i Odszkodowań w dziedzinie kultury przy Naczelnej Dyrekcji Muzeów i Ochrony Zabytków. Instytucja ta uzyskała jeszcze nowe materiały, bowiem na jej apel wpływały setki informacji, często bardzo dokładnych, z wykazami, opisami a nawet fotografiami zbiorów. Pisz o tym prof. Lorentz, spód jego też pióra wyszły i następne dwa zdania: „po likwidacji Naczelnej Dyrekcji Muzeów i Ochrony Zabytków w r. 1951 przestało istnieć i Biuro Rewindykacji i Odszkodowań w dziedzinie kultury. Archiwów Biura nie udało się obecnie odnaleźć”. Sprawa nie wymagałaby komentarza, gdyby nie wierzyli, iż biura i urzędy nie są bytami samymi w sobie, że za uroczystymi nazwami kryją się ludzie. Nie wiadomo, co stało się z bezcenną dokumentacją polskiej walki o ocalenie dóbr narodowej kultury. Może się jeszcze kiedy odnajdzie, ale póki to nie nastąpi, mam prawo zastanawiać się, jacy ludzie i dlaczego ją zaprzepaścili. Pytanie to stawiam sobie nie tylko ja.

JOZEF GRZELAK

Walka o dobra kultury

po raz pierwszy. Inicjatywa opracowania tego rodzaju publikacji wyszła w połowie lat 60-ych z Państwowego Instytutu Wydawniczego, na którego życzenie prof. Lorentz zwrócił się do grona osób, z którymi współpracował w latach wojny. W ten sposób ukształtował się sztab publikacji, któremu udało się pozyskać dla niej pióra blisko trzydziestu autorów, wśród których jest wiele pierwszych nazwisk naszej humanistyki, by wymienić tylko J. Iwaszkiewicza, J.

zbiorów prywatnych, o ratowniczej pracy księgarzy i innych, którzy brali udział w tej prawdziwej „walce o dobra kultury”. Ale przecież mimo tych wysiłków obraz, jaki otrzymaliśmy, nie jest pełny, bowiem o wielu sprawach nie sposób dziś powiedzieć dokładnie. Redakcja i autorzy wydawnictwa doskonale zdają sobie z tego sprawę. „I — jest to oczywiście — pisze S. Lorentz na zakończenie swego wstępu — nie ma sposobu, by dostatecznie uwypakować o-

Maria powoli wracała do domu. Czula się bardzo źle. Była zmęczona prawie godzinnym stanieniem w kolejce po kabanosy dla Henryka. W Delikatesach nie działała wentylacja, tłok, a dzień parny, gorący. Bolało ją serce, tępy ucisk paraliżował ruchy, oddech. Od dłuższego już czasu serce dawało znać o sobie w ten dokuczliwy sposób, lecz dopiero dwa lata temu zdecydowała się na wizytę u lekarza. Dowiedziała się wtedy, że jest poważnie — nie zwykłe poważnie — zagrożona i jeżeli nie zmieni swojego dotychczasowego trybu życia, może być źle.

— Pani powinna przede wszystkim unikać najmniejszego nawet wysiłku fizycznego, wszelkiego zdenerwowania. Absolutnie nie wolno się pani niczym denerwować, musi pani dużo leżeć, wypoczywać, nauczyć się spędzać czas bezproblemowo — oświadczył lekarz, a Maria pokiwała głową ze zrozumieniem, uśmiechając się lekko. Cudowna recepta na zdrowie. Jakby spokój, wygodne życie, można było przyjmować w dawkach porcjowanych kroplomierzem na cukier lub wodę, przed posiłkiem lub po posiłku.

— Na którym piętrze pani mieszka? Na trzecim? Bez windy? — zapytał jeszcze lekarz. — Żle, zupełnie źle. Niech pani czym prędzej przeprowadzi się na parter, to konieczne dla pani serca, ono nie zniesie takiego wysiłku więcej, ono już dłużej nie zniesie żadnego wysiłku.

Dowcipny lekarz, z kolosalnym poczuciem humoru, ale bez poczucia rzeczywistości. W ciągu dnia często zdołała Giewont, a czasem i Mont Blanc, biegając tam i z powrotem po stromych schodach, aby spełnić każde życzenie Henryka.

Wracała pośpiesznie z pracy, gotowała obiad, podawała go mężowi. O godzinie szesnastej trzydziści, z chwilą nadawania programu telewizyjnego, zasiadała przed telewizorem w miękkim, staromodnym fotelu, zajmującym dość znaczną część powierzchni pokoju i wtedy zaczynała się: Maria! mam pragnienie, przynieś mi wody mineralnej! Maria, kup sałatki śledzowej! Maria, daj mi plasterki szynki z sosem tatarskim! Maria, ubij mi krem ze śmietany, Maria!

Maria przyspieszyła kroku. Przełożyła wypchaną zakupami ciężką torbę do drugiej ręki. Poczuła wyrzuty sumienia, że na tak długi okres czasu opuściła dom. Henryk tego nie lubił. Henryk nie lubił też, aby była blisko niego, w tym samym pokoju co on; musiała być w zasięgu jego głosu; jednak również nie cierpiał, kiedy po pracy wychodziła na zbyt długi z domu; wymagał jej stałej obecności, ponieważ stale od niej czegoś potrzebował. Podaj herbatę, otwórz okno, zamknij okno, przykryj mi nogi piodem, weź piod; denerwował się ciągle, że nie otacza go należąca opieka, jak on na to zasługuje ze względu na stan swego zdrowia.

Wezła w brudną klatkę schodową swego domu: starej, przedwojennej, czynszowej kamienicy, o wysokich, wysokich oknach, jeszcze wyższych sufitch i mieszkaniach zimnych, ponurych, obech. Jakby pierwszy raz w życiu widząc szpetotę budynku, w którym spędziła już ponad dwadzieścia lat swego życia, przystanęła na moment zaskoczona swoim nie spodziewanym odkryciem. I nagle serce ścisnęło się tak boleśnie, tak gwałtownie, że aż krzyknęła głośno: nie spodziewała się bólu. Uchwyciła się kurczowo lepkiej poręcz. Przypomniał się jej znowu lekarz i jego humorystyczna recepta na zdrowie. Odpoczywać, nie przemęczać się, nie denerwować, szybko przeprowadzić się na parter.

— Dobry Boże — westchnęła. Schody wysokie i strome zwisały nad nią, nanawajac ją lekkiem. Przeraziła się tego gwałtownego głosu serca. Nie chciała umierać, a pomy-

ślała, że umrze, umrze bardzo przedko, niedługo, jeszcze dzisiaj. Tak gorąco, tak duszno i tak bardzo śmiertelnie jest zmęczona. Swoim życiem, które składa się z ciągłego wchodzenia po schodach, spełniania kaprysów męża i leku przed nim, jego żadaniami, i leku przed uciążliwym, bolesnym wspinaniem się na schody. Ale przecież nie może umrzeć, nie wolno, bo co się stanie z Henrykiem? Jest niedoświadczony, chory, od pięciu lat nie wychodzi na ulicę; jak małe dziecko, które dopiero uczy się mówić i stawia pierwsze kroki, niepewne jeszcze, co chwila żądając: daj mi to! ja chcę tamto!



Zaczerpnęła głęboki oddech i ostrożnie zaczęła wchodzić na górę. Czula, jak serce rozrywa jej klatkę piersiową, dusi. Na wpół żywa stanęła przed drzwiami mieszkania, pot zalewał oczy, oddychała urwanie, spazmatycznie.

Henryk siedział przed telewizorem. Nie odwrócił nawet głowy.

— Gdzie szwendałaś się tak długo? — zapytał.

Rozpakowywała torbę szeleszcząc kusząco papierami. Czasem udawała się jej ta sztuczka: Henryk zainteresowany tym, czy przyniosła coś smacznego do jedzenia, zapominał o swoim gniewie.

— Pytam się! — krzyknął.

— Kolejka w Delikatesach — odpowiedziała Maria cicho, z wysiłkiem — ale kupiłam ci kabanosy.

— Tak długo na nie czekałam, że już i ochota przeszła — burknął opryskliwie, nadal zły.

— Nie będziesz jadł?

— Ależ będę! Chciałabym mnie głodem zamorzyć! Twarożek kupiłaś?

— Nie było w Delikatesach.

— To trzeba było pójść gdzie indziej, i kupić! Nie chciało ci się, po prostu, powiedz lepiej. Przecież wiesz, że muszę odżywiać się dietetycznie, że nie wolno mi ciężkostrawnych potraw.

— Tak, Henryku — odparła pokornie.

— Więc dlaczego nie przyniosłaś twarożku?

— Przepraszam, Henryku.

— Twoim przeproszeniem się nie najem — oświadczył, wciąż nie przerywając sobie oglądania programu.

— Ugotuję ci jajka na miękko za-

miast twarożku — zaproponowała nieśmiało Maria, patrząc z troską na męża: był bardzo wzburzony i zdawało mu się to coraz częściej. Nie znaczące głupstwo wyprowadzało go, z równowagi. A potem cierpiał. Nie mógł spać w nocy. Słyszała, leżąc na swoim rozkładanym łóżku w kuchni, jak postępuje, jęczy, a czasem krzyczy przez sen.

— Jajka i jajka. Mam dość jajek. Daj, no mi te kabanosy, zjem bez chleba. Tylko szybko, od obiadu nie jadłem, nie miał mi kto podać szklanki wody, bo ty chodzisz sobie na spacerki!

Maria wyszła do kuchni naszyko-

BRUNON ZBYSZEWSKI

BYĆ MOŻE: WYPADEK

wał kolację. Wiedziała z doświadczenia, że kiedy Henryk jest zdenerwowany i podniecony, potrafi być niesprawiedliwy i nie należy mu się ani w niczym sprzeciwiać, ani specjalnie przejmować.

— Za piętnaście minut dziennik, pośpiesz się.

— Zaraz ci podam — obiecała.

Zawsze kolację jadł podczas dziennika telewizyjnego. Już się tak przyzwyczaił. Nie daj Boże, co by się działo, gdyby nie zdążyła na czas podsunąć mu talerzy z jedzeniem. Zapomniawszy więc o swoim bolejącym sercu, pośpiesznie krajała chleb, smarowała grubo masłem, otwierała puszkę z rybami. Nie wolno pozwolić, aby się denerwował, szkodził mu.

— Widzisz — powiedziała wnosząc tacę i rozstawiając nakrycia — jak mi sprawnie poszło? Już możesz jeść. Za parę minut podam ci jeszcze jajka, musza się dogotować. A kabanosy — wspaniale wyglądają. I jak pachną.

— Rzdokiewek nie ma?

— Och — przeraziła się Maria — zapomniiałam o rzdokiewkach, ale jutro...

Przerwał jej gwałtownie:

— O wszystkim zapominasz. Wiesz przecież, jak bardzo lubię rzdokiewki!

— Jutro...

— Jutro to nie dziś. A teraz — wynoś się stąd! No, powiedziałem, wynoś się i nie przeszkadź!

Nie znośli, aby była w pokoju, kiedy on oglądał telewizję. Już od pięciu lat kazał jej spać w kuchni, twierdził, że potrzebuje dla siebie maksimum spokoju i powietrza w

nocy. Kupiła rozkładane łóżko, kuchnia jest mała, ciasna, i co wieczór rozstawiała posłanie, wyciągała pościel ze schowka, w ciągu dnia, jeżeli chciała odpocząć, przysiadła na kuchennym taborecie.

— Henryku...

— Czego — zapytał ustami pełnymi jedzenia. Polykał duże kęsy chleba, łapczywie i zachłannie, jakby nie jadł co najmniej przez kilka dni, jakby cierpiał od dawna dotkliwy głód, ale zwykle w taki sposób jadł.

— Dziś jest film, pozwolisz?

Spojrzał na nią uważnie, może zastanawiając się, czy zasłużyła sobie na nagrodę.

— Jeśli by ci bardzo miało przeszkadzać — powiedziała przepraszająco.

Zrobił przyzwyczajony ruch ręką. Maria zadowolona z pozwolenia, z nadzieją na spokojny wieczór, sprzątnęła w kuchni, starła stół, wysypała okruszyny chleba na parapet dla wróbla; zrobiła sobie kąpiel, po której poczuła ulgę. Odswieżona, zadowolona od ciepłej wody, przysiadła sobie w łustrze i stwierdziła, że wygląda okropnie.

— Jestem już bardzo stara — pomyślała — mam prawie czterdzieści trzy lata. Włosy zupełnie siwe. Nawet nie zauważyłam, kiedy oświełam. Może podfarbować? Ech, to śmieszne, aby kobieta w moim wieku farbowała sobie włosy. Ale trzeba coś z nimi koniecznie zrobić, może trwała? Kiedy jednak znaleźć czas na fryzjera?

Zakreśliła sobie włosy, obwiązała głowę chustką. Na palcach wsunęła się do pokoju, nie chciała przeszkodzić Henrykowi. Była ciekawa, jaka będzie ostatnia prognoza pogody na jutro, czy Wicherke zapowie kolejny wyż, tak bardzo gorąco, nie do wytrzymania w dusznym, rozpalonym mieście.

Henryk siedział jakoś inaczej, w nienaturalnej pozie. Nigdy nie widziała, aby w ten sposób siedział: wyprostowany, sztywny, z głową poddaną do przodu i twarzą tak upiornie bladą, że w świetle elektrycznym wydawała się być jak wycięta z sinego papieru.

Przeraziła się.

— Henryku! — zawołała. Podbiegła do męża.

— Słabo ci?

Odepchnął ją silnie. Zatoczyła się i boleśnie uderzyła biodrem o stół.

— Henryku!

Powoli, niesłuchanie powoli, jak automat odwrócił w jej kierunku głowę. Milczał. Tylko zaciśnięte konwulsyjnie usta poruszały się bezgłośnie, jakby chciał powiedzieć coś, a nie mógł.

— Henryku! Na litość boską?! Co się stało?

Zobaczyła jego oczy zza szkieł okularów. Nigdy nie lubiła jego oczu. Były bardzo jasne, jasnoniebieskie, wypowlały, wypukłe oczy krótkowidza. Zimne. I czasami wydawało się jej, że widzi w tych oczach nienawiść. Ale nie wiedziała — kogo Henryk miałby nienawidzić? Patrzył teraz na nią, zdjął okulary, odłożył na stolik koło telewizora, zrozumiała: on ją nienawidził. Cofnęła się o krok. Zlekka się go. On wciąż milczał, cofnęła się jeszcze o krok, przerażona jego oczami i jego milczeniem.

— Henryku — powiedziała cicho, niepewnie.

Znowu poruszył ustami. Usłyszała głos ochryply, stłumiony, który z trudem przedarł się przez ciągle zaciśnięte zęcznie usta. Pytał ją o coś, ale niewyraźnie, i ona, przerażona, a jednocześnie zafascynowana nową twarzą męża, której dotąd nie znała, nie zrozumiała jego pytania.

— Słucham? Co mówisz?

— Dawno tu jesteś? — powiedział z wysiłkiem, jego ręce zsiniały zaciśnięte na poręczach fotela.

— Ależ... — nie rozumiała zupełnie o co mu chodzi.

— Dawno tu jesteś?! — krzyknął. Zlekka się teraz nie na żarty. On

zwariował. Te jego wszystkie ponure dziwactwa, od pięciu lat nie wyszedł ani razu z domu, to już przed pięcioma laty musiała się zacząć, to są objawy choroby umysłowej, a teraz ma atak.

— Nie patrz tak na mnie! — krzyknęła. — Nie patrz!

Wtedy ruchem bardzo zwyczajnym, prostym, jak człowiek, który niezmiernie cierpi i pragnie siłą woli otrząsnąć się z tego cierpienia, podniósł rękę do skroni, potarł czoło. Uspokoiła się natychmiast. Pewno go coś zabolowało, mocno, a może znowu przypomniały mu się tamte lata, o których przecież pragnął za wszelką cenę zapomnieć, jak tysiące setki tysięcy innych ludzi, którzy przeżyli koszmarny wojny.

— Przynieś mi szklankę wody — powiedział. Głos jednak wciąż brzmiał ochryple i odniosła wrażenie, że mowienie przychodzi mu nadal z wielką trudnością.

Pobiegła do kuchni. Nalala wodę, wycisnęła cytrynę.

— Może podać mu kropli uspokajających? — zastanawiała się. Ręce jej drżały. Nie, lepiej go nie rozdrażniać.

— Dziękuję ci — powiedział mąż, a ona znowu poczuła ukłucie strachu, nigdy, od wielu lat za nie jej nie dziękował, to słowo zabrzmiało obco, fałszywie, a nawet wrogo.

— Lepiej ci?

— Tak — odpowiedziała.

Stała milcząc. On też milczał.

— Pójdę się położyć. Nie będę już oglądała filmu — odezwała się wreszcie.

— Mówiłaś coś? — zapytał nieprzychylnie.

— Dlaczego zdjąłeś okulary? — uświadomiła sobie chwilę, w której zdjął okulary i do tej pory ich nie założył, tak bardzo źle widział. — Przecież...

— Co cię to obchodzi? — odpowiedział z groźbą w głosie. — Co cię to może obchodzić? Unieś się w fotelu, twarz nabiegła mu krwią.

— Ależ... nie rozumiem — wyjąkała. — Ja nie złego nie miałam na myśli. Po prostu spytałam...

— Nie trzeba o nic pytać! Rozumiesz? Nigdy! — krzyknął i znowu podniósł rękę do czoła, otarł pot, jak bardzo się pocili. — Słuchaj — powiedział spokojnie — słuchaj, jest straszliwie duszno. Otwórz okno.

— Przecież okno jest otwarte — odparła zdziwiona.

— Ach, otwarte, racja. Ale zasłona nie zaciągnięta. Komary wpadają.

— Jakie komary? Co ty pletiesz? Może masz gorączkę? Na litość boską, Henryku!

Przerwał jej:

— Nie jestem chory, nie mam gorączki. To muchy, jeśli nie komary. Zasunę te zasłony, mówię ci!

— Ależ nie mogę tego zrobić, tam, u góry, popsuła się szyna, coś się zacięło, rozumiesz? Zasłona nie chce się zasunąć.

— Mnie to nie obchodzi! Chcę, abyś zasłoniła okno. Natychmiast.

— Dobrze, dobrze, nie denerwuj się. Spróbuj.

Przysunęła krzesło do okna, achi, te wysokie okna, tak uciążliwe, ani ich umyć porządnie, ani firanki upiąć. Stekając, weszła na parapet. Przeszkadzała jej doniczka z paprotką. Odsunęła ją trochę na bok.

— Ależ jestem głupia — powiedziała głośno. — Przecież nie dosięgnę. Muszę mieć szotkę. Może wtedy coś zdziałam.

— Podam ci — zaoferował się Henryk.

— Siedź, siedź — odparła, odwróciła się do pokoju plecami, aby ukleknąć i zejść potem na krzesło. Posłyszała za sobą zdyszany oddech. Wyprostowała się.

— Henryku! — zawołała, przerażona tym oddechem. Odwróciła się twarzą i zdążyła jeszcze pomyśleć, że jednak on ma atak i należy natychmiast sprowadzić pogotowie. Potem krzyknęła — przeraźliwie, krótko, śmiertelnie.

»POLONICA«

ŚMIERĆ FRANCUSKIEGO POETY

Nocą z 9 na 10 marca zginął tragicznie w Paryżu wybitny poeta, Jean Follain. Wychodząc około północy z przyjeżdża w okolicy Concorde został przewrócony przez auto wyjeżdżające z tunelu i zabity na miejscu. Już kilka miesięcy wcześniej Follain doznał ciężkiego wypadku, gdy sam jechał autem. Jakies fatum! Miał 57 lat, poznaliśmy go z okazji konferencji zorganizowanej

przed kilku laty w Warszawie przez Międzynarodowe Stowarzyszenie Krytyków Literackich i Polska Agencję Autorską. Wygłosił wtedy referat, poprzednio uczestniczył w przygotowaniu Antologii Polskiej Poezji, ogłoszonej przez Editions du Seuil. (Tłumaaczył wiersze Jastruna). Pewną ilość jego wierszy ogłosiło w lecie krakowskie „Życie Literackie”.

Jean Follain urodzony w 1903 roku w Normandii, był najpierw adwokatem, potem sędzią. Należał w młodości do kręgu poetyckiego, skupionego dookoła pisma „Sagesse”, razem z P. A. Brealem, P. A. Biro-

tem, Mac Orlanem, Leonem Paul Farguem, Max Jacobem, Janem Brzokowskim. Ożenił się z córką słynnego malarza, Maurice Denis. Wraz z Francois Pongem i Guilleivem stał się Follain wyznawcą „poezji przedmiotu”, rzeczy, krajobrazu, pojętej poetycko konkretności. Przeciwnie, uważał się „sommabulizmowi” surrealistów. W 1970 otrzymał nagrodę Akademii Francuskiej. Właśnie ukazał się w wydawnictwie „Gallimard” najnowszy tom poezji Follaina, „Espaces d'instants”.

W. N.

SPÓR Z POLSKIM REŻYSEREM

Dziennik zachodnioberski „B. Z.” z dnia 17 lutego br. przyniósł sensacyjną wręcz wiadomość. Oto, co przeczytaliśmy w tym dzienniku: „Wallenstein” Schillera wylądował się w walki, zanim w ogóle do niej doszło. Natomiast tym silniejsza bitwa rozgorzała za kulami. Niemieccy aktorzy, wśród nich takie gwiazdy jak Holzmann, Henniger, Schellow i Borchert, wypowiedzieli wojnę goszczącemu w zachodnim Berlinie reżyserowi polskiemu, Kazimierzowi Dejm-kowi. Nie zgadzali się oni

na Dejmkową koncepcję sztuki i pracę na próbach. Rezultat: kosztowna produkcja sztuki Schillera w Teatrze im. Schillera, której premierę przewidziano na koniec marca, została po 16 próbach przerwana.”

Co zarzucali aktorzy reżyserowi Dejm-kowi? Oto opinia dramaturga (kierownika literackiego) zachodnioberskiego teatru, Meuschela: „Dejmek przygotowywał straszliwie formalistyczne przedstawienie „Wallenstein”. Sporządził on bardzo skróconą wersję sztuki, która ograniczała się do wątku politycznego w bardzo kameralnym ujęciu, pozbawionym zębów

trzonowych. Jego statyczny układ inscenizacyjny odebrał aktorom jakąkolwiek możliwość realistycznego działania na scenie, zmuszając ich jedynie do recytacji tekstu. Formalistyczne i stylizatorskie zapędy Dejmki wywołały u aktorów wielkie zdziwienie.”

Tyle kierownik literacki zachodnioberskiego Teatru im. Schillera — Meuschel. Gazeta „B. Z.” dodaje od siebie, że nie należy tracić nadziei na wystawienie „Wallenstein”, jednakże już nie w bieżącym, lecz dopiero w przyszłym sezonie teatralnym.

JK.

ŚWIATŁO GEOMETRIA I REFLEKSJE

Wbrew głosom, które przepowiadały kiedyś zmierzch i rychły koniec konstruktivismu i całej tak zwanej „sztuki czystej” — ten kierunek plastyczny nie obumarł a wykazuje nadal wielką przeżność rozwojową. Przepowiednia końca konstruktivismu — najbardziej popularna w okresie panowania abstrakcji niegeometrycznej i przez rzeczników tej sztuki lansowana — okazała się płożna i przynajmniej przedczesna. I choć plastyka rygoru i konstrukcji operuje pojęciami wyłącznie plastycznymi — bez jakichkolwiek asocjacji wobec przeżyć literackich czy muzycznych — to jednak potrafiła ona nie tylko utrzymać istniejący stan posiadania, ale i wskazać nowe perspektywy dla sztuki jutra.

To, co przynosi wystawa pt.: „Światło geometrii” w Muzeum Sztuki, może być reprezentatywne dla najnowszszych doświadczeń „czystej plastyki”: doświadczeń opartych na zastosowaniu w sztuce geometrii i optyki. Wszelkie wystawione prace pochodzą ze zbiorów Łódzkiego Muzeum i powstały w latach 1965—1970 a prezentują przede wszystkim główne kierunki poszukiwań pop-artu i sztuki multipli.

Staranność ekspozycji i jej logiczna przejrzystość przynoszą świetne widowisko i to zarówno dla widzów wyrobionych, jak i tych, którzy ze sztuki spotykają się przypadkowo. Jest to bowiem sztuka, która przywraca plastyce jej najpierwotniejsze, najbardziej rudy-

mentarne znaczenie jako partnera wzroku człowieka.

Dlatego wiele z tych prac opartych o logikę wyliczeń i wiedzy o właściwościach percepcji wzrokowej, tworzy właściwe „obrazy” — złudzenia optyczne dopiero na siatkówce oka, a same są tylko projekcjami tych złudzeń. Bo prace pop-artu „poruszają” się przeważnie tylko w oku widza, poprzez migotliwe atakowanie niedoskonałego przecieży narządu ludzkiego wzroku. Często pozorny ruch obrazu odbywa się na skutek najdrobniejszego nawet ruchu widza wobec nieruchomego „projektora”. Zdziwiał przy tym czasami fakt, jak wielką oszczędność w zastosowaniu środków plastycznych pozwala na osiągnięcie maksimum efektu wizualnego. Czarno-białe obrazy Ernsta Benkerta i Francisca Hewitta są tego najlepszym przykładem.

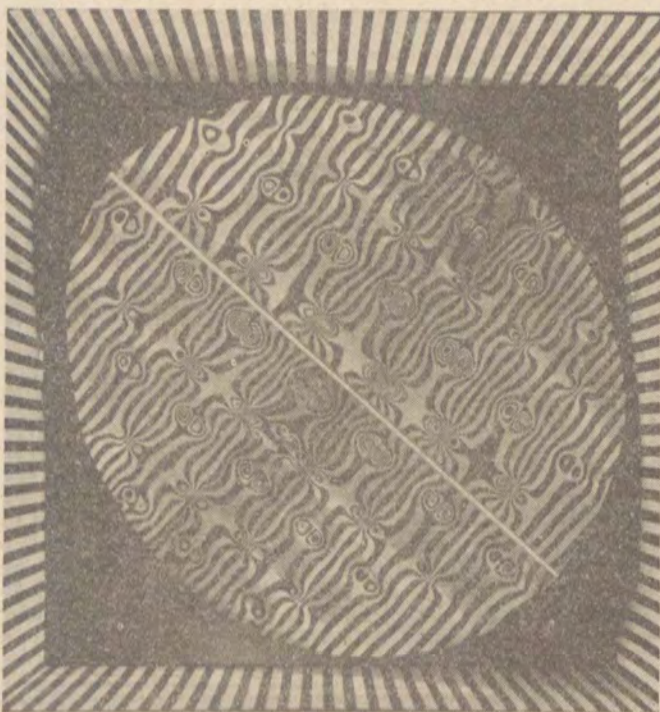
Podwójne, rastrowe, obrazy tworzące ruch pozorny, dają widzowi wiele zabawy i powodują swobodną grę wyobraźni. Każde z tych dzieł jest w zasadzie odrębnym i autonomicznym odkryciem w zakresie formy; powtarzalność doświadczeń jest tu niemożliwa. Carlos Cruz-Diez, Adam Marczyński, Zbigniew Gostomski, Jesus Raphael Soto, Francois Morellet, Jerzy Rosołowicz prezentują spójne ale jakże bardzo różne wobec siebie osiągnięcia w tworzeniu niezwykłych układów najbardziej elementarnych form geometrycznych. Te formy — wirujące i nieustannie zmienne — choć przecie-

stają materialnie, są najbardziej niezwykłym sposobem pobudzania imaginacji widza za pomocą środków tak prostych i tak oczywistych.

Ale plastycy, zafascynowani ruchem pozornym, zastępują go potem — jakby na drodze weryfikacji wartości — ruchem rzeczywistym. Technika — towarzyszy sztuce nowoczesnej, wspomagając zamysł plastyka, buduje coś w rodzaju apa-

natycznego zaczepka. I może jeszcze dowcipna „Kantata” Andrzeja Łobodzińskiego i Ireneusza Pierzgańskiego — twór plastyczno-dźwiękowy z własnym źródłem ruchu — ten kierunek poszukiwań poszerza jeszcze o dźwięk.

Plastycy porzucają dziś tradycyjne tworzywa, a sięgają po nowe, ze współczesnej technologii wynikające metody i środki. Sztucznie tworzywa, metale o nie-



Julio Le Parc — „Wątki zmienne”

ratów do tworzenia obrazów ruchu. Silniki i rozmaite źródła sztucznego światła, których działanie współtworzy obraz, umożliwiają powstawanie kompozycji zwanymi choć o stałe zmieniającym się układzie formy. Układy te, wyprowadzone z reguł matematycznych ale z uwzględnieniem elementu przypadku, zbliżają w sposób najbardziej sugestywny i w sposób — to nie pomyłka — poetycki, sztukę do nauki. Jest to nowy, może dopiero powstający synkretyzm sztuki odpowiadający współczesnej technice i przyszytej technologii. Sugestywne obrazy — widma Argentinczyka Julio Le Parca i jego rodaczki Marthy Boto, „Mobil” Henryka Stażewskiego, refleksy światła i odbicie w projektach Alfredo Massironi, Gregorio Vardanega i Edoardo Landi — są tego synkretyzmu w sztuce

zwykłej obróbce powierzchniowej silniki, światła i różnego rodzaju urządzenia elektryczne, tworzą dziś przedmioty sztuki nowoczesnej. Jednocześnie współczesny twórca coraz rzadziej uczestniczy sam w fizycznej realizacji swoich prac artystycznych, ograniczając się do samej koncepcji — do czystego projektu. Resztę — często już w całych przemysłowych seriach — wykonuje sztab wykonawczy w fabryce metalowej lub w drukarni.

W ten sposób — zapewniając umasowienie dzieła artystycznego — współczesny plastyk staje się tylko konstruktorem — projektodawcą swojej wizji twórczej dla potrzeb społecznych.

*) „Światło geometrii” — Muzeum Sztuki w Łodzi — marzec — kwiecień 1971. Architekt wystawy: Jakub Wujek.

TELEOBIEKTYW ŚWIAT JEST KOLOROWY

Tak. Świat jest kolorowy, wielokolorowy, a nie czarno-biały. Tę prawdę potwierdził każdy człowiek posiadający normalny wzrok. Tylko na zasadzie umowności przyjmowaliśmy czarno-białą fotografię, a potem czarno-biały film jako odbicie rzeczywistości.

Ale przyszły zdobycze techniczne. Barwne fotografie, barwne przeźroczka, barwne filmy wypierają dawne techniki, które zastępowały skalę barw gradacją różnych odcieni szarości. A teraz przychodzi kolej na telewizję. Telewizja kolorowa w naszych domach zdawała się do niedawna muzyką dalekiej przyszłości. A tymczasem postęp techniczny posuwa się coraz większymi krokami i wyprzedza wszelkie futurologiczne przewidywania. Piszę te słowa pod wrażeniem transmisji w kolorach, którą miałem okazję oglądać przed kilku dniami w Łódzkim Ośrodku Telewizyjnym.

Było to sprawozdanie ze Szwajcarii, z meczu hokejowego ZSRR — Szwecja. Na ekranie radzieckiego telewizora „Rubin 401” obraz przybliżył się do barw rzeczywistych. Koszulki zawodników szwedzkich były żółte, ich kaski ochronne — błękitne, kostiumy hokeistów radzieckich — czerwone.

Świadomie użyłem wyrażenia, że obraz przybliżył się do barw rzeczywistych. Można było bowiem to i owo mu zarzucić. Plamy barwne przeciekały chwilami poza kontury obrysujące sylwetki zawodników. Niebieskie pasy na rękawach Szwedów zlewały się z tłem żółtym, tworząc plamy różowe. Czerwieni radzieckich dresów nabierała chwilami odcieniami buraczkowego, to znów pomidorowego.

Ale te niedoskonałości spowodowane były faktem, że transmisja docierała do nas z daleka. Ponadto sam charakter widowiska nie sprzyjał lepszymu dopracowaniu barwnego obrazu. Wydaje się, że widowisko barwne przygotowane w studio, operujące większymi płaszczyznami kolorów, właściwie i starannie naświetlone (przebiegiem i fotografia barwna wymaga specjalnej ekspozycji), da na ekranie telewizora znacznie lepsze efekty.

Ale wróćmy do perspektyw telewizji kolorowej! Za instalowanie przed kilkoma miesiącami urządzenia nadawczego dla II programu Telewizji Polskiej przystosowane są zarówno do przekazywania obrazu czarno-białego, jak i barwnego. Studio numer 5 w Telecentrum na ul. Woronicza jest pierwszym, z którego można emitować program kolorowy.

W tej chwili nadawany jest raz w tygodniu barwny program eksperymentalny, na który składa się test w kolorach i filmy. Jeżeli jednak II program retransmituje ze Szwajcarii sprawozdania z hokejowych mistrzostw świata, które emitowane są w kolorze, to na przystosowanych do tego celu odbiornikach ogląda się je również w kolorze.

Na razie odbiorników „Rubin 401” sprowadziła Telewizja Polska kilkadziesiąt i wszystkie dla wewnętrznego użytku. W Łodzi jest jeden tylko taki telewizor. Ale pod koniec tego roku odbiorniki do telewizji barwnej pojawią się w sprzedaży. Z początkiem przyszłego roku wystartuje polski program telewizji barwnej.

Z początku zasięg jego będzie niewielki. Teoretycznie pokrywający się z zasięgiem II programu, a w praktyce limitowany dość wysokim kosztem odbiornika (prawdopodobnie na początek około 25 tysięcy złotych). Ale za parę lat ilość odbiorników telewizji kolorowej wzrośnie. Wzrastać będzie z roku na rok. Przewiduje się, że lata osiemdziesiąte przyniosą już całkowite zwycięstwo barwnego obrazu.

I jeszcze jedno. W tym czasie oglądać już będziemy z pewnością program satelitalny. To znaczy, że wybierając sobie będziemy sami — na zasadzie podobnej jak dziś słuchamy zagranicznych stacji radiowych — obrazy emitowane w różnych zakątkach globu, które docierać będą do naszych mieszkań via kosmos.

To przyszłość wcale niedaleka, choć na razie wydaje się nam mało realna, gdy śladamy przed naszymi telewizorami, by oglądać czarno-biały jeszcze program wielkanocny, a nasze marzenia o kolorach realizują tylko barwne pisanki na stole.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Ziemia Łódzka w grafice

Nowy konkurs

Ziemia Łódzka w grafice



Prezentujemy naszym Czytelnikom nowy konkurs. W kilku najbliższych numerach „Odgłosów” reprodukowaliśmy prace graficzne łódzkich artystów, dotyczące konkretnych miejscowości Ziemi Łódzkiej. Zadanem Czytelników będzie odgadnięcie o jaką miejscowość chodzi. Odpowiedzi prosimy nadsyłać wyłącznie na kartach pocztowych na adres: **ŁÓDŹ, PIOTR-KOWSKA 96, „ODGŁOSY” — ZIEMIA ŁÓDZKA W GRAFICE.**

Zasady uczestniczenia w konkursie takie same jak w poprzednich. Można nadesłać odpowiedź tylko na jedno zadanie konkursowe, można uczestniczyć w konkursie systematycznie — zwiększając tym samym swoje szanse w losowaniu nagród. Na uczestników bowiem czekają nagrody w postaci bonów towarowych:

- I nagroda — 1.500 zł
- II nagroda — 1.000 zł
- III nagroda — 500 zł

ZADANIE KONKURSOWE NR 2

Wacław Kondek narysował jeden z ciekawszych zabytków tego miasta — a jest ich tam sporo. Dawne kościoły i klasztory bernardynów i bernardynek, ratusz, jatki i kamienice z pierwszej połowy XIX wieku, gotyckie polichromie i późnorenansowe kaplice... A wszystko to w miasteczku liczącym około 4 tys. mieszkańców, położonym nad rzeką o tej samej nazwie.

Jak zatem nazywa się to miasto, którego fragment narysował Wacław Kondek?

Kto, co, kiedy?

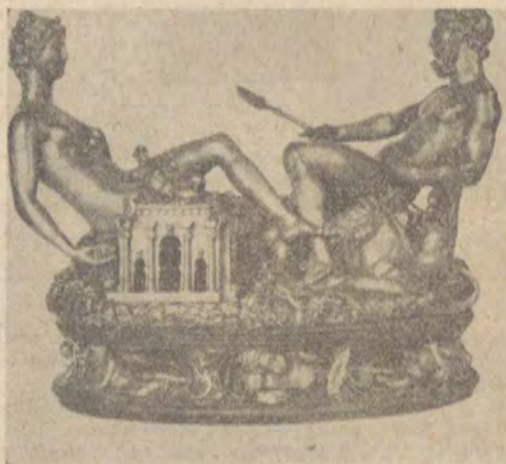
relacje

niedyskrecje

BENVENUTO CELLINI

W tym roku mija czterysta lat od śmierci słynnego florenckiego rzeźbiarza, złotnika, twórcy artystycznie wykonanych pieczęci i medalionów, Benvenuto Celliniego. Źródłem do poznania jego niespokojnego życia jest przede wszystkim jego własny pamiętnik „La vita”. Interesująca to książka. Napisała ją żywo i plastycznie przynosi nie tylko fakty z życia artysty, choć o niektórych wolał on zamilczeć, ale odzwierciedla bujne, barwne, niespokojne czasy w których żył.

Benvenuto Cellini, utalentowany artysta przechodził zmienne koleje losu, bo w końcu wdał się w bójki, awantury i zwady. Otart się o więzienie, wypędzono go z miast, w których żył.



Solnica ze złota, wykonana przez Celliniego dla francuskiego króla Franciszka I-go

a czasem znów wzywał go na swój dwór papież i król Francji, by wykonywał dla nich prace artystyczne. Pamiętnik Celliniego jest również dziełem literackim o nieposiedniej wartości. Początkowo pisał go własnorocznie, później zaś dyktował sekretarzowi. Manuskrypt został złożony w Bibliotece Laurenziana we Florencji. Przez dwa wieki nie był drukowany. Goethe, który otrzymał kopię manuskryptu tak się przejął zachwytem, że postanowił, że go przetłumaczył na język niemiecki i opublikował, naj-

pierw we fragmentach w wydawnictwie Schillera czasopiśmie „Horen”, a następnie jako oddzielną książkę.

U nas ukazała się w wydawnictwie PIW w roku 1957. II wydanie w doskonałym tłumaczeniu z włoskiego Leopolda Staffa pt. „Benvenuto Celliniego żywot własny spisany przez niego samego”. (Dodajmy nawiasem, że tę niezwykle interesującą, liczącą kilkadziesiąt stron książkę, można było ostatnio nabyć jako precenioną za... 5 zł).

Benvenuto Cellini urodził się we Florencji w roku 1500 jako syn muzyka. Ojciec chciał go kształcić równie w tym zawodzie, ale młody Benvenuto oparł się woli ojca i zaczął naukę u złotnika, gdzie szybko wyróżniła się swymi niezwykłymi zdolnościami arty-

sa VII i kardynałów. Za bójki i awantury przepędzony z Rzymu przenosi się do Liantu, wezwany jednak przez papieża wraca do Rzymu, skąd jeszcze raz musi uciekać. Tym razem przenosi się do Neapolu. W roku 1551 jest na powrót w Rzymie, gdzie w zwadzie morduje swego rywala, złotnika Pompeo di Capitaneis. Wytaczają Cellinemu proces, lecz papież Paweł III uwalnia go. Niespokojny duch nie pozwala artyście na normalną pracę. Nowe zwady i bitki, nowe oskarżenia i aresztowanie. Teraz król Francji uwalnia go od kary i Benvenuto Cellini przenosi się do Paryża, gdzie mieszka w luksusowych apartamentach. Pracuje nad zdobieniem pałacu Fontainebleau. Z tego to czasu pochodzi słynna rzeźba leżącej nimfy wykonana do Porte Dorée w Fontainebleau. Dla stołu królewskiego wykonuje nie mniej słynną, złotą solnicę. Potem, pokłóciwszy się z jednym z wybitniejszych artystów francuskich, Cellini opuszcza Francję wracając do Florencji gdzie pracuje dla księcia Cosimo I-go. Jest to najbardziej płodny okres twórczy w życiu Benvenuto Celliniego. Tworzy wiele rzeźb z brązu i marmuru, m. in. wspaniałe białe marmurowe statuy. Na roku 1562 kończy się pamiętnik artysty. Z innych źródeł wiemy, że w latach późniejszych miał sporo kłopotów rodzinnych i finansowych. Pisał dzieła o sztuce. Umarł w roku 1571.

PABLO NERUDA AMBASADOREM

Światowej sławy poeta chilijski piszący w języku hiszpańskim, Pablo Neruda przybył do Francji w charakterze ambasadora Chile. Jak wiadomo Neruda, liczący 67 lat jest jednym z największych twórców Ameryki Łacińskiej.

„MOTYL” TYM RAZEM CAŁKOWICIE NIEUDANY

Autor słynnego sprzed półtora roku bestsellera, powieści — pamiętnika pt.



Claudia Cardinale — Papillon

„Papillon” (Motyl), Henri Charrière zwany „Motylem” osiągnął ostatnio po laury filmowe. „Popsy Pop” jest filmem nakręconym według scenariusza Charrière’a, on sam zaś gra rolę głównego bohatera. Partnerką jest Claudia Cardinale. Film w zamysle o żywej, przegrodowej akcji i egzotycznym tle jest, wedle zdania recenzentów, po prostu okropny. Zle napisany scenariusz, niezręczność w przedstawieniu perypetii bohaterów, fatalna gra aktorów, mimo urody i doświadczenia filmowego Claudii Cardinale — sprawiają, że widzowi trudno jest dosiedzieć do końca filmu.

„Być może — stwierdza recenzent tygodnika „Paris-Match” — Charrière jest świetnym gawędziarzem, ale na pewno nie jest scenarzystą i aktorem”.

POŁ MILIONA DZIEŁ W ROKU 1970

Według informacji UNESCO produkcja książek na całym świecie wyniosła w roku 1970 pół miliona tytułów. Wydrukowano 7 do 8 miliardów egzemplarzy książek. Raport UNESCO podkreśla jednak bardzo nierównomierną wydajność poszczególnych krajów w tym zakresie. I tak 32 kraje reprezentujące mniej niż jedną trzecią ludności świata wyprodukowały więcej niż cztery piąte ogólnej ilości książek.

WIELKA WYSTAWA CEZANNE’A W WASHINGTONIE

Jedną z największych wystaw dzieł Paula Cezanne’a została ostatnio otwarta w galerii Phillipsa w Waszyngtonie. Pokazano tu około 80 dzieł (trzydzieści obrazów olejnych, około trzydziestu akwarel i dwadzieścia rysunków). Dzieła zostały wypożyczone z różnych muzeów zagranicznych m. in. z Luwru.

ŚWIATŁO I PRZESTRZEN

Jedną z paryskich galerii sztuki wystawia dzieła nowojorskiego artysty Dan

Flavina. Specyficzna to wystawa, a Flavin w dziedzinie nowoczesnej sztuki zajmuje szczególne miejsce. Operuje on bowiem wyłącznie światłem. Wprowadza je przed nim do swych dzieł świecące się elementy, jednak Flavin tworzy dzieła wyłącznie

świetlne. Używa on np. neonów fluoryzujących czerwono, niebiesko, żółto lub biało. Te światła są tak zestawione, że tworzą barwne układy geometryczne. Prócz tego Flavin umieszcza barwne neony w różnych miejscach danej sali komponując w ten sposób przestrzeń.

B. B. SYMBOLEM REPU-BLIKI FRANCUSKIEJ?

36-letnia Brigitte Bardot dostąpiła niezwykłego zaszczytu. Oto stała się mo-

się, brąz lub z terrakoty. Popiersie B. B. jako Marianny zdobie ma merostwa i szkoły francuskie. Oczywiście sprawa zamówienia pozostaje do swobodnej de-



B. B. jako Marianna

delem Marianny — symbolem Republiki Francuskiej. Jak dotąd dwanaście centymetrów, waży ok. 12 kg. Wykonał je francuski rzeźbiarz Alain Marianny. Zdaje się, że Gourdon, Figura Marianny, zależe nie od zamówienia, może być wykonana w gip-

czył poszczególnych me-rostw i kierownictw szkół. Jak dotąd dwanaście centymetrów, waży ok. 12 kg. Wykonał je francuski rzeźbiarz Alain Marianny. Zdaje się, że Gourdon, Figura Marianny, zależe nie od zamówienia, może być wykonana w gip-



NIEDZIELI NIEDZIELI

30 x MISTRZ MACKIEWICZ

TOŻ TO HAPENING! ARTYSTA POCHYLONY NAD ŚWIATEM RECE GNIOŁACE TUBE SŁONECZNE PEJZAZE CINEMA VERITE ZART I PRZEKORA PAN KONSTANTY OPOWIADA

Trzydzieści razy albo i więcej! Na wystawie w Klubie Dziennikarza zawieszono bowiem na ścianach i pod sufitem ponad trzydzieści ekspresyjnych fotografii Andrzeja Wachy, a jeszcze wokół sali ustawiono na sztalugach słoneczne pejzaże pana Konstantego i jeszcze wokół tych obrazów i pośród tych fotografowanych spaceruje sam mistrz, sygnując perki swego dowcipu, paradoksów i anegdot. To już nie jest wystawa — to istny happening!

Andrzej Wach miał dobry pomysł. Gigantyczny, artystyczny fotoreportaż pt. „Konstanty Mackiewicz” u-dał się wzbożaćony pięknymi pracami artysty. Dawno nie oglądaliśmy w Lo-

dzi wystawy tak oryginalnej i pomysłowej.

Oto wielki fotos-obraz: starszy, siwy pan o wyrazistej twarzy, zgarbiony w geście zmęczenia, dionie oparte o krzesło... Poplamiony fartuch, gdzieś w dole fotous — rupiecłarna wyciśniętych tubek po farbie, a w tle za plecami artysty — miasto z obrazu, miasto jak pustynny kanion, z betonowymi bryłami wieżowców, z rzeką samochodów, płynących pod estakadą... Pomyślałem sobie — oto Konstanty Mackiewicz pochylony nad światem zgniecionych tubek — w chwili po stworzeniu tamtego świata na płótnie.

Z sufitu, z czarnego tła fotogramu wychylają się ku nam ręce artysty — rę-

ce chwytające pędzel, gniołace tubę z bielą cynkowa... Niżej graciarnia pracowni — ramy, blejtramy, dłoń uniesiona nad obrazem, słowa wypowiadane z pasją... No, nie — słów nie uchwylił obiektyw aparatu, tylko ten gest, kiedy mówił... Ten charakterystyczny ruch rąk, gładzących rozwichrzone włosy, gest, którym kończy kolejną filipikę przeciwko nonsensom, zadufkom, tępakom — gest, któremu towarzyszy niezmiennie — „a ot i tu sobaka zaryta...”

Konstanty Mackiewicz jest znanym i wybitnym artystą, ale jest także postacią barwną i oryginalną — jest uosobieniem renesansowego twórcy, któremu nieobcy jest ten świat w całej swej złożoności — nie tylko z jego sztuką, ale filozofią, polityką, ekonomią. Nieprzypadkowo skomentował pan Konstanty ten świat zagrożony cywilizacją i zagrożony wojną — nieprzypadkowo zrodziły się wizerunki artysty w cyklu „Tu byli ludzie” i w cyklu gładkich, przerażających pustką i obojętnością miast-olbrzymów — „mrówkowców” ludzkich.

Jako komentarz do fotogramów Andrzeja Wachy przedstawił pan Konstanty swoje słoneczne pejzaże, architekturę włoską, inkrurowane mury ze zniechęconymi na nich płamami słońca. Wieczorem, punktowe reflektory wydobywają z tych obrazów całą gamę półtonów i barw.

Aż obok szeregu kadrów jak na taśmie filmowej — pan Konstanty w tłumie, w zapalczywej dyskusji, otoczony słuchaczami, toczący spory. Dokumentacja fotograficzna, fragment zyciorysu malarza, zanotowany na światłoczułej błonie, jest efektem nie reżyserskich zabiegów fotograficznych, lecz swego rodzaju cinema verite. Andrzej Wach skomponował swój fotoreportaż z dziesiątków przypadkowych ujęć, chwytając gesty i odruchy, czatował na autentyczne sytuacje... Stąd ta czuła atmosfera i nastrój, stąd owa naturalność, emanująca z fotogramów — nie ma w nich poży i sztuczności tak, jak nie ma poży i sztuczności w reakcjach i gestach pana Konstantego. Cykl stara się nam właśnie narysować osobowość artysty.

Nie wszyscy tę koncepcję Wachy zrozumieli. „Popatrz — powiedział ktoś, wskazując na szereg podobnie skądrowanych fotogramów — popatrz, przecież to jest powtórzenie jednego wciąż portretu”. Otóż — pozornie tak, formalnie tak — ale przecież ten cykl studium twarzy artysty jest pełnią własnie w wielości, dopiero zestawienie tych zbliżeń twarzy, cykl pozornie monotony, daje studium — niemal psychologiczne.

Jest w tej ekspresji i żart i przekora, fragment zyciorysu pana Konstantego i jego słoneczne obrazy. Słowem jest to właściwie „show” i happening — zwłaszcza, gdy w otoczeniu wielkich plansz fotograficznych i podświetlonych obrazów, pan Konstanty z filiżanką w dłoni opowiada o Fenzie i Jekaterynburgu, o Paryżu i Łodzi. Gdy snuje wielki, nieprzerwany monolog o urakach i niedoskonałościach tego świata. A świat ten huzy za oknem i pulsuje światłem obrazów rozstawionych na sztalugach.

JERZY WIDOK

Bcz strachu

DWAJ KRÓLOWIE

Panowali przed wiekami dwaj królowie: król Hiszpanii — Filip i król Francji — Henryk. Kiedy wstąpił na tron Filip, Hiszpania była pierwszym mocarstwem świata. Kiedy w ciężkich walkach zdobywał swój tron Henryk, Francja podupadała i biedna płonęła w ogniu wojny domowej. Król Filip, pełen samoderżających wyrzeczeń asceta, rządził Hiszpanią z celi klasztornej zamku w Eskuriale, nie znał litości dla samego siebie i mniemał, że dla najwyższego dobra poddanych nie wolno mu znać litości dla nich. Król Henryk, wesół kobieciarz i hulaka, płał się w ziemskich rozkoszach, darował wszelkie winy — wypuszczał nawet goźdźcych na jego życie morderców. Król Filip kazał niszczyć ciała poddanych, by ocalić ich dusze, król Henryk, obiegając twierdząc buntowników z bezprzykładną odwagą jeździł konno pod szanice i własną ręką rzucał im chleb: „Nawet jeżeli walczą ze mną, nie chcę, żeby głodowali”. Król Filip wierzył, że ludzie nakarmieni mistycznym chlebem najwyższej, prawdy, nigdy nie będą głodni. Król Filip nasyłał morderców na króla Henryka, bowiem wierzył, że niszcząc jego rozpuszczone ciało, ocali wężloną w nim nieśmiertelną duszę. Król Henryk sam był sobie prawdą i drogą — troszczył się, by ludzie w bieżącym dniu byli syści i zadowoleni. Król Filip myślał o życiu absolutnym i nieskończonym — śmierć była bramą wiodącą do tego życia. Król Henryk był wierny ziemi, znał jej prawa i służył im, zarazem je tworząc. Król Filip uważał, że swój obowiązek wnikać w dusze ludzi — bowiem król Filip uważał, że wie wszystko i dlatego to, co najbardziej skryte, powinno stać się jawnym, aby mógł je ująć w dionie i złożyć w ofierze najwyższej prawdzie. Król Henryk mniemał, że wie niewiele — najgłębiej nieznanne pozostawały nieznane, czynił sprawy według swego rozumienia, ani dobre, ani złe, lecz pomocne i pożyteczne. Ostentacyjnym wykładnikiem najwyższej cnoty Filipa była zbrodnia spełniana w imię wartości absolutnych, ostatecznym wykładnikiem podobnież życzliwości Henryka było wybaczenie i praktyczna uczynność. Kiedy umierał powolną śmiercią Filip, rozpoczęła się już powolna agonja impetu Hiszpanii i jasne było, że przyszłe dzieje świata pisać będą inne narody i państwa — wśród nich Francja Henryka, który umarł śmiercią gwałtowną. W przyszłości Filip stał się tragicznym i posępnym demonem romantycznych tragedii, natomiast o Henryku pisało rzetelnie i trzeźwo biografie. Niewielu dziś wzruszają nieszczęścia Hiszpanów, doznane w imię wielkiej uludy, złego snu przesłoniętego za życia — warto natomiast przypomnieć sobie sprawy Henryka. Po wiekach wydaje się, że to Filip mordował w imię przelotnych majaków, a Henryk kształtował wieczyste wartości życia.

BERNARD SZTAJNERT



Lekcja poglądowa

Freddie Shafter miał zawsze nieoczekiwane pomysły. Do jego ulubionych zajęć należało zakradanie się z kieszonkami i nagły wrzask: „Policja!” Lubił się też zabawić wkładaniem bibuły do moich kanapek. W ogóle lubił zabawigę się moim kosztem. Stanowiłem znakomitą cel dla jego dowcipów. To też byłem bardzo zdziwiony, kiedy pewnego dnia przyszedł do mnie i zaproponował, bym mu pomógł obrabować bank. Miejski Bank w Santa Marta w Kalifornii. Obydwa pracowaliśmy w tym właśnie banku. Ja, po dwunastu latach pracy dochrapałem się stanowiska młodszego kasjera. Freddie przyszedł do pracy cztery miesiące temu, na równorzędne stanowisko. Ja od pięciu lat miałem tego samego Volkswagena, on zajeżdżał do pracy nowym, złotym Jaguarem.

A więc Freddie pewnego dnia zaprosił mnie po pracy na drinka. Oczywiście przyjąłem zaproszenie. Poszliśmy do najlepszego lokalu w Santa Marta, on zajął zaciszny stolik w barze.

— Harvey — zapytał — jak długo pracujesz w banku?

— Dwanaście lat — odrzekłem.

— A ile masz lat? Trzydzieści siedem czy trzydzieści osiem?

— Trzydzieści dwa — odparłem mocno dotknięty.

— I kim jesteś? Młodszym kasjerem. Akurat tak jak ja, który ma dwadzieścia pięć lat.

— Tak, ale pan Mac Dougall, główny kasjer, za kilka miesięcy idzie na emeryturę.

— Harvey, przykro mi to powiedzieć, ale LL dziś wezwał mnie na rozmowę...

LL! Po dwunastu latach pracy w banku nie śmiałem nawet pomyśleć o przesiedleńcu jak Mr Burnham.

— Po co? — zapytałem.

— Zakomunikował mi, że porozumiał się z członkami zarządu i zdecydowali wspólnie, iż chcą mieć energicznego kasjera. Zaproponował tę pracę mnie.

— Moje gratulacje!

— Gratulacje? — wykrzyknął ze zgrozą Freddie. — To wszystko, co masz mi do powiedzenia?

— A twoim zdaniem, co powinienem zrobić?

Nachylił się ku mnie i wyszeptał dramatycznie:

— Pomóż mi obrabować bank!

Powiedziałem mu, że zostawił mi kilka sekund na zebranie myśli. Kiedy to uczyniłem, zapytałem:

— Dlaczego właśnie ty chcesz obrabować bank? Masz przecież obletnięć awansu...

— Awans! Ha! Widziałeś mój wóz? Ja muszę mieć wszystko najwyższej klasy. Dlatego mam pełno długów i grzęzę w nich coraz głębiej. I nie wygrzebię się z nich nawet jako główny kasjer.

Przez kilka sekund nie mogłem wydusić z siebie ani słowa. Wreszcie wybąkałem ze skruchą:

— Freddie, ja nie wiem jak się rabuje bank.

— Dam ci krótką lekcję. Taki jednogodzinny kurs. Przede wszystkim skarbiec. Ma jeden ze starych, podwójnych zamków. Dla otwarcia potrzeba kombinacji, którą znamy obaj, a która wymaga dwóch różnych kluczy. Nikt w banku nie ma obydwu, ale na szczęście tak się składa, że ja mam jeden, a ty — drugi. Poza tym wszyscy wiedzą, że często zostajesz po godzinach, nikogo więc nie zdziwi, jeżeli kiedyś poproszę cię, żebyś został z tobą i pomógł mi wieczorem. Pozostaniemy w banku, powiedzmy do dziewiętej. Do tego czasu nie powinno się wydarzyć. Potem zwyczajnie otworzymy skarbiec i włożymy pieniądze do walizki. Następnie ja wyminę się i schowam łup w bezpieczne miejsce. I szybko wrócę, a potem zwiążemy się.

— Nie sądzę — powiedziałem — żeby ktokolwiek mógł się związać sam w sposób wiarygodny.



— Nie bój się, jeden z nas zerwie więzy i wezwie policję. Opiszemy im dwóch zamaskowanych bandytów z bronią w ręku, którzy nas sterroryzowali, zmusili do otwarcia kasy, zrabowali pieniądze, a potem nas związali. Przeczekamy gorące dni, powiedzmy parę tygodni, może nawet miesiąc.

Kiedy wszystko uelchnie, wykopie my łup i wyjedziemy do Rio de Janeiro. Ładne miasto, nie? I nie grozi tam ekstradycja.

— A co z paszportem, wizami? — zapytałem.

Freddie wyciągnął portfel, a z niego wizytówkę i położył przede mną.

— Jeśli ma się dość pieniędzy, można wszystko kupić — rzekł sentencjonalnie. — Widzisz nazwisko i adres tego pana? Za odpowiednią sumę ten dzentelmen zaopatrzy nas w każdy dokument, którego nam będzie potrzebna.

— Wiesz co, Freddie, to może być robotą Pomyśl o tym.

— Myśl szybko, jutro też jest dzień.

— Niech się z tym prześpię — zdecydowałem.

• ☆ •

Następnego dnia prezes Burnham siedział za swoim ciemnym, ciężkim biurkiem i patrzył na mnie z otwartymi ustami.

— Niech mi pan pozwoli upewnić się, że dobrze pana zrozumiałem. Twierdzi pan, że Shafter zapoznał pana z planem kradzieży naszych pieniędzy?

— Tak, proszę pana.

Potrząsnął głową, jak raniły jęknął. Sięgnął po słuchawkę wewnętrznego telefonu. — Trzeba z tym skończyć. Wezwę Shaftera i dam mu natychmiastowe wywołanie.

— On może mieć przy sobie broń — zauważyłem. — Proszę pana, ja mam inną propozycję. Może pozwoli mi na ten rabunek? Policja mogłaby być uprzedzona i czekać na miejscu.

— Chce pan podjąć taką ryzykowną grę, Mr Harvey?

— Proszę pana, nie ma takiego ryzyka, którego bym nie podjął, by bronić interesów naszych depozentów.

— Dziękuję panu. Podobna mi się pańska postawa. Kiedy będzie już po wszystkim, zaproszę pana na rozmowę w sprawie posady głównego kasjera. A teraz muszę wezwać szefa policji, Dillarda. Pan natomiast musi iść do pracy, żeby Shafter nie domyślił się czegoś.

— Dobrze, proszę pana — zgodziłem się na decyzję szefa.

Upłynęło może piętnaście minut, w czasie których nerwowo przesuwalem papiery na swoim biurku, unikając spojrzenia Freddiego. Potem zjawił się na sali Mr Burnham, podszedł do mnie krokiem bardzo służbowym, pochylił się nad moim biurkiem i jakby wskazując na coś, szepnął: — Wszystko załatwione. Brygada policji będzie za tylnymi drzwiami.

A więc akcja rozwijała się według ustalonego scenariusza. Rozpętałem się po sali i zapytałem, czy któryś z kolegów nie zechciałby zostać po pracy i pomóc mi w znalezieniu błędów w rachunkach. Freddie zgodził się ostentacyjnie.

• ☆ •

Zbliżała się godzina zero. Rzuciłem ostatnie spojrzenie na ulicę. Jeśli policja była tam, gdzie powinna być, to głiny byłyby dobrze ukryte. Zameldowałem Freddiemu, że horyzont jest czysty, dopasowałem klucze i otworzyliśmy skarbiec. Znaleźliśmy trochę więcej niż 300 tysięcy dolarów w walucie obiegowej. Zapakowaliśmy je do wa-



Fot. W. Parys

lizki i Freddie wyniósł ją na zewnątrz.

Przez małe, zakratowane okienko piwnicy widziałem jak aleja za bankiem rozbił się nagle światłem. Jakis głos zagrzmiął:

— Zatrzymaj się, Shafter, tu policja. Rzuć walizkę i połóż ręce na karku! Freddie zrobił, co mu polecono. Szef policji Dillard podszedł do drzwi.

— Pan Harvey? — zapytał.

— Taki.

— Zabraliśmy go, może pan teraz wyjść.

Freddie, trzymany przez dwóch krzepkich policjantów, spojrzal na mnie.

— Harvey, to ty mnie zdradziłeś. Wzruszyłem ramionami. Nie miałem nic do powiedzenia.

Policjanci zabrali Freddiego, szef policji uścił mi moją dłoń: — Może pan być dumny z tego, czego pan dziś dokonał.

Jeden z policjantów podszedł do nas. W ręku trzymał walizkę z pieniędzmi.

— Co z tym zrobić, szefie?

Wtrąciłem się.

— Mogę schować pieniądze z powrotem do skarbcia i zamknąć. Tam będą bezpieczne.

— Dziękuję panu — powiedział szef policji. — Był pan wspaniały.

Upewniwszy się, że skarbiec jest znów zabezpieczony, opuściłem bank głównymi drzwiami. Policjant stojący na wrocie przyjacielsko pokłapał mi ręką, kiedy wrzuciłem moją własną walizkę do Volkswagena i zapuściłem motor.

• ☆ •

Trochę się bałem nadawać walizkę w porcie lotniczym razem z pozostałym bagażem, ale tragarze na międzynarodowych liniach są bardzo uważni. Moje przeżycie przez komorę celną było dobrze przygotowane przez dzentelmena, którego nazwisko zapamiętałem z wizytówki pokazanej mi przez Freddiego. Jeżeli czułem się trochę winny wobec kogokolwiek, to tylko wobec prezesa, LL Burnhama. Ale przecież w końcu to on był tym, który otrzymał poglądową lekcję kradzieży.



Lewym okiem

TEATR KIJANKOWY

W połowie ostatniego grudnia zapowiedział „Przekrój”, że w Warszawie już wkrótce powstanie „niezależna scena pod szyldem Teatr Młodej Warszawy”. Nie wiemy, od czego ma być niezależna ta scena, od czego są zależne sceny pozostałe. Wiemy tylko, że „Przekrój” bardzo się cieszy perspektywą nowego teatru. „Bo też — pisze — mają swoje sceny dorośli, istnieją w stolicy teatry (kukielkowe) dla dzieci, lecz nie ma sceny dla nastolatków. Tę właśnie lukę ma wypełnić nowa placówka. Będą tam wystawiane przede wszystkim spektakle rozrywkowo-muzyczne. Z myślą o takiej scenie powstały już dwa musicale o tematyce młodzieżowej”.

Czytam tę notatkę i czytam i nadziwić się nie mogę, co też to się z tą młodzieżą wyprawia. Może to i oznaka wieku — mojego wieku — ta malejąca elastyczność wyobraźni, to dziwowanie się, czy — nie daj Boże — wydziewanie? Może. Ale pozwólcie, że myśli, które macą mi trochę spokój, spróbuję jakoś skatalogować.

Po pierwsze: „młodzież” jest pojęciem niejasnym, a to znaczy w logice, że nie da się wydzielić bez wahania przedmiotów, objętych takim pojęciem. Kogo zaliczyć do młodzieży? „Nastolatków”, jak chce „Przekrój”, to znaczy ludzi poniżej dwudziestki? Myślę, że do dwunastego — czternastego roku mamy do czynienia po prostu z dziećmi. Później rzecz się komplikuje: są piętnastolatki, biegające za kółkiem, i są takie, co wychodzą za mąż. Piętnastoletni chłopak wraz z czterema innymi równymi sobie gwałci koleżankę w parku. Siedemnastolatki piją litrami piwo, ale też uczestniczą w olimpiadach fizycznych, matematycznych i innych, gdzie najtęższym specem od atomistyki i od komputerów potrafią zaimponować ogromem nie wiadomo kiedy zdobytej wiedzy. Mnóstwo jest takich nastolatków, które nie tylko czytają dużo, czytają ogromnie dużo, czytają nieraz na całe późniejsze życie; można by przecież wyliczać a wyliczać imiona ludzi bardzo młodych, także poniżej dwudziestki, którzy pisali, malowali, tworzyli dzieła o światowym, wielowiekowym znaczeniu, dzieła dla dorosłych, także — dzieła dramatyczne dla dorosłych teatrów!

W procesie przeobrażania żaby jest stadium kijanki, bardzo różnej od dorosłego osobnika. Kijanka jak wiadomo ma ogon, oddycha skrzekami, nie wylazi z wody i nie może rodzić małych kijanek, dopóki nie stanie się żabą. Aleć u ssaków takiego stadium nie ma! Jest po prostu młody człowiek, a nie coś całkiem innego, jakiś stwór skrzekodyszny! Młody człowiek nie potrafi od razu i nie rozumie od razu tego co dorosły, a dorosły — tego co sędziwy mędrzec. No to co? To stwarzać dla każdego z nich zupełnie odrębną kulturę? Zatkąć takiemu nos i do wody — siedź, kijanko, i oddychaj młodzieżowym teatrem... pardon, skrzekami?

Po drugie: co w tym jest, że jak już ktoś niefor-

tunnie pomyślał o teatrze dla młodzieży, to mu się to od razu jeszcze niefortunnie skojarzyło ze spektaklami „przede wszystkim rozrywkowo-muzycznymi”? Kiedyż wreszcie młodzież, owa demoniczna, zachłanna, przerażająca kategoria bytu, przestanie nam się wydawać molochem, żadnym nieustannym rozrywaniem? Jak widzieć, jestem optymistą i wierzę w młodzież. Dlatego właśnie mówię, że to nam wydaje się ona takim molochem do rozrywania, że wcale nie jest pewne, czy tak rzeczywiście wygląda obiektywna prawda.

Faktem jest, że wielka część młodzieży rozrywa się muzycznie bez przerwy i co mądrzejsi lekarze zaczynają już na to zwracać uwagę. Stary, łysy koń, podrywacz wczasowy, chcąc uchodzić za młodzież, nie rusza się nigdzie bez tranzystora, nastawionego fortissimo. Jeżeli to jest jednak ideał ukulturowania mas, podniesienia czegoś tam i sublimacji jeszcze czegoś, to ja już naprawdę nic nie rozumiem.

Wreszcie — po trzecie: co by to były za musicale o tematyce młodzieżowej? Na ogół na musical nie wpuszcza się poniżej osiemnastu lat, bo to i frywolność, i sporo ciała, i „Hair” i „Calcutta”. Nawet gdyby zrobiono musical młodzieżowy z Robinsona Cruoe, myślę, że nie obszedłby się bez tańca gołych ludźczyrny z Piętaszkiem pośrodku. I znów połowę widzówni zapelniliby dorośli, a „Przekrój” pisałby o luce w repertuarach stoletczych.

Co innego, gdyby chodziło o teatr antyrytyniarski, antyakademicki, teatr pelen prawdziwej młodości, a to znaczy także: buntu, walki, ciekawości, marzenia. W takim teatrze nikt by przecież nie sprawdzał daty urodzenia przy kupnie biletu. To byłby naprawdę młody teatr, dla ludzi młodych duchem. Nie dla kijanek.

CWIEK